



Przegląd tygodniowy

Podział świata coraz wyraźniejszy

NIEUBLAGANY BIEG WYDARZEN

Z naprawdę rzadką zgodnością wydarzenia ostatniego tygodnia składają się na wspólny obraz; ani jedno nie wnosi do ogólnego rozwoju sytuacji międzynarodowej nuty rozdzwięku.

Czy to będzie nowy plan Trumana obrony półkuli zachodniej, czy przedstawiona przez dowódcę amerykańskiego lotnictwa wizja konfliktu, rozgrywającego się w rejonie podbiegunowym jako granicy pomiędzy St. Zjednoczonymi, a masą euroazjatycką, czy powstanie we Włoszech rządu bez komunistów, czy konsolidacja wpływów sowieckich na Węgrzech w wyniku czynnego manewru w stosunku do premiera Nagy, czy wydarzenia w Finlandii, w Rumunii lub Jugosławii, czy wreszcie zapoczątkowanie nowego okresu w Niemczech przez stworzenie czegoś w rodzaju rządu dla połączonych stref zachodnich — wszystko to w równej mierze świadczy o coraz kompletniejszym rozpadaniu się świata na dwie części.

OBRONA PÓLKULI ZACHODNIEJ

Jeśli chodzi o St. Zjednoczone, tydzień stał pod znakiem lepszego organizowania półkuli zachodniej. Okres wojen w skali narodowej należy już dziś do przeszłości; kto wie, może nawet nie należy już mówić o wojnie kontynentów, lecz przewidywać — jak to czyni „New Statesman and Nation” — „wojnę półkul”. Nie znaczy to, że będzie to z pewnością wojna prowadzona „przez naciśnięcie guzika”, czyli przez wzajemne ostrzeżenie się obu półkul za pomocą pocisków raketowych; powszechnie przewiduje się również bardziej klasyczne metody walki i nie ma mowy o tym, by np. St. Zjednoczone wyrzuciły się swych przyczółków mostowych na półkuli wschodniej — w Europie, w Afryce i w Azji. Wprost przeciwnie: czynią wszelkie starania, aby te przyczółki po drugiej stronie Atlantyku i Pacyfiku umocnić i rozszerzyć. Niemniej jednak bazą tej przyszłej strategii jest Półkula Zachodnia.

Stąd wniesiony przez prez. Trumana do Kongresu projekt zorganizowania

całej Półkuli Zachodniej w jedną całość obroną przez ujednoczenie broni, zaopatrywanie krajów Ameryki Łacińskiej i Kanady w sprzęt, szkolenie poszczególnych armii według tych samych metod, wykorzystanie baz i t.d.

„SPISEK” NA WĘGRZECH...

Sowiety ze swej strony starają się przyspieszyć sowietyzację krajów, nad którymi pozwolono im panować. Pod tym względem najbardziej charakterystyczne są wypadki na Węgrzech.

Węgry były nieco spóźnione na drodze sowietyzacji. Wśród krajów całkowicie podporządkowanych Sowiutom zachowały one stosunkowo największą niezależność. Wprawdzie komuniści dysponują tajną policją i mając w rękę niektóre inne kluczowe pozoje, posiadali wpływ nieproporcjonalnie większy, niżby to wynikało z uzyskania 18 procent głosów w wyborach, ale niemniej było faktem, że

Przy obecnym nastawieniu polityki państw zachodnich wobec Polski nie można się spodziewać, by zwłaszcza prasa brytyjska rozpisywała się obszerniej o tym, co się w Polsce dzieje. Fakty nie pokrywałyby się z różnymi teoriami... Za to prasa mniejszych państw żywo się interesuje rozwojem sytuacji w Polsce.

Wielki dziennik szwedzki „Göteborgs Handels Tidning” wysłał swoje sprawozdanie na Targi Poznańskie. Oto garść jego spostrzeżeń:

„Patrząc z okien wozu, w drodze pomiędzy Berlinem a Poznaniem, można było dostrzec, że pola na terenie Polski pięknie się już zielenią i że zbiory w roku bieżącym mogą być dobre. Natomiast na polu politycznym, w Polsce, jest coraz bardziej „czerwono”, a wnioski z tego są

antykomunistyczna partia drobnych rolników — odpowiednik PSL w Polsce — posiadała większość. Premierem Węgier nie był ani agent Kominternu, jak w Jugosławii, Bulgarii czy Albanii, ani też kukła komunistyczna, jak w Polsce czy w Rumunii.

Od szeregu miesięcy komuniści węgierscy pracowali nad zmianą tego stanu rzeczy. Odkryli „spisek przeciw republice”, który posłużył im do żądania coraz to nowych czystek w partii drobnych rolników, aby wykruszyć posiadaną przez nich większość. Gdy partia ta nie chciała wydać swego dzielnego sekretarza generalnego Kovácsa, wkroczyli Rosjanie i najbezpieczniej w świecie go zaarrestowali. Amerykanie i Brytyjczycy protestowali, ale protesty nie były poparte żadnymi argumentami, które mogłyby trafić do przekonania, toteż pozostały bez echa.

Teraz nastąpił nowy etap. Rosjanie twierdzą najsłabiej w świecie, że zeznania aresztowanego „spiskowca” obciążają premiera i ministra spraw zagranicznych. Premier, który przebywał w Szwajcarii, nie zaryzykował już powrotu. Wolał pozostać w Szwajcarii. Jego następcą uległ żądaniu komunistów i obiecał nowe wybory.

Tym razem oczywiście nie będą to już wybory wolne, jak przypadkiem były wybory 1945 roku. Od tego czasu technika fałszowania wyborów została udoskonalona. Węgry nie pozostaną w tyle za Rumunią, czy Bułgarią, a może nawet wyrównają rekord terrorku i oszustwa, ustanowiony przez reżym Bieruta i Cyrankiewicza. Wyrównają, bo pobić go trudno...

...I BOMBA W FINLANDII

W innych krajach strefy sowieckiej również przykrecała jest śruba sowietyzacji i pośpieszenie usuwa się wszelkie ślady wpływów zachodnich.

W Rumunii od dłuższego czasu trwa masowa aresztowania i zanosi się na usunięcie z koalicji rządowej grupy liberalów, która już nie jest potrzebna, a sprzeciwia się posunięciu zmierzającym do pełniejszej sowietyzacji kraju.

W Polsce komuniści pod pretekstem walki z drożyzną chcą zniszczyć klasę średnią i chłopów, stworzyć państwowe magazyny i t.d.

W Jugosławii aresztowany został p. Jovanović, jedyny działacz opozycyjny, który zasiadał w parlamencie Tity i miał odwagę sprzeciwić się planowi trzyletniemu.

Nawet w Finlandii, która stanowi „wzorowy protektorat” sowiecki, śruba sowiecka została przyćmiewiona. Niedawno Finowie sądzili, że mogą nieco osłabić kontrolę komunistyczną. Koalicja rządowa rozpadła się i wydawało się, że pro-komunistyczny premier Pekkala zostanie zastąpiony przez polityka bezpartyjnego. Kryzys trwał parę tygodni, aż nagle w poselstwie sowieckim wybuchła bomba. Czy naprawdę wybuchła? Nikt jej nie widział, nikt nie zauważył, jak została rzucona... Jednakże Rosjanie twierdzili, że „wpadła” do jednego z pokojów, wywołując pożar. Na wszelki wypadek nie pozwolili policji zbadać śladów tego tajemniczego wybuchu... Rosjanie wystosowali coś w rodzaju ultimatum, żądając wykreślenia „winowajców” w ciągu trzech dni. Winowaj-

ców wprawdzie nie wykryto, ale agrariusze i socjaliści pośpieszyli wolać znowu p. Pekkala na premiera, a tylko o to Rosjanom chodziło.

EUROPA ZACHODNIA NIE UNIKNIE WYBORU

Podczas gdy w ten sposób konsoliduje się z jednej strony Półkula Zachodnia, a z drugiej — blok sowiecki, Europa zachodnia pozostaje obiektem walki.

Dwa wydarzenia świadczą, że powoli również Europa zachodnia konsoliduje się w ramach bloku pod przywództwem Ameryki. Jednym z nich jest powstanie rządu włoskiego bez udziału komunistów. W ten sposób po Francji drugi wielki kraj Europy zachodniej usuwa pięta kolumnę od bezpośredniego wpływu na rządy. Eksperyment jest bodaj jeszcze bardziej ryzykowny we Włoszech, niż we Francji. Wynik jego będzie zależał od tego, czy Amerykanie dopomogą Włochom wydzignąć się z kryzysu.

Drugie wydarzenie wskazujące na konsolidację zachodniej części Europy, to układ anglo-amerykański powołujący do życia centralny organ dla kierowania gospodarką niemiecką w połączonych strefach. Jest to krok na drodze do powstania państwa zachodnio-niemieckiego ze stolicą w Frankfurtu. Ewentualności takiej może zapobiec jedynie osiągnięcie na listopadowej konferencji w Londynie porozumienia co do jedności Niemiec, na co się nie zanosi.

W Brytanii dość opornie wkrocza na tę drogę organizowania Europy zachodniej bez oglądania się na Rosję. Wprawdzie p. Bevin odniósł duży sukces na kongresie w Margate, ale trzeba pamiętać, że jego polityka przeszła pewną zmianę w kierunku zalecanym przez jego przeciwników, którzy usilują odciąć W. Brytanię od Ameryki. Bevin dzisiejszy to już nie ten sam Bevin, który stał się zwycięzcą boje z Wyszyńskim na Radzie Bezpieczeństwa na początku 1946. I nie ma dziś tej solidarności anglo-amerykańskiej, jaką obserwovali się jeszcze niedawno.

Nie wydaje się jednak, by W. Brytania mogła przyjąć rolę neutralną, o której marzą różni „intelektualiści” z Labour Party. Wybór jest niemiłobny, a wobec zaleceń gospodarczych W. Brytanii od St. Zjednoczonych — właściwie nawet nie ma wyboru.

Londyn, 1 czerwca 1947.

LECTOR ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

Przy obecnym nastawieniu polityki państw zachodnich wobec Polski nie można się spodziewać, by zwłaszcza prasa brytyjska rozpisywała się obszerniej o tym, co się w Polsce dzieje.

„Stady wpływów rosyjskich w Poznaniu można spostrzec na każdym kroku. Na ulicach miasta pełno żołnierzy sowieckich. Czynniki oficjalne tłumaczą ten fakt, mówiąc, że Poznań jest punktem węzłowym na drodze wojsk sowieckich poruszających się z Niemiec do Rosji. Tłumaczenia te wydają się dość dziwne, gdyż zazwyczaj zdemobilizowane wojska przejeżdżają tranzytowo przez obce państwa bez broni, a w Poznaniu żołnierze sowieccy chodzą po ulicach miasta z bronią palną w ręku. Mieszkańcy Poznania starają się zupełnie ignorować obecność tych uzbrojonych żołnierzy sowieckich, do których nikt nie czuje zbyt wielkiej sympatii...”

„Gdy się podsumuje wrażenie wywołane z Targów Poznańskich, ma się głębokie przekonanie, że Polska dźwignie się niebawem ze swoich powojennych trudności. Pomimo to, że Polska

obecnie przeżywa swą nową wiosnę roku 1947, ciężkie i różne chmury, nie wróżące nic dobrego, zbierają się na jej horyzoncie od Wschodu...”

A oto wrażenia wysłannika holenderskiego dziennika „De Maas Bode”, który opisywał walkę z Kościółem dochodzą do takich wniosków:

„Szerokie masy ludności polskiej zajęte są walką o byt codzienny i nie zajmują się polityką. Polscy pamiętają, że dwa razy zostali opuszczeni przez swoich diabłów zachodnich, najpierw podczas uwolnienia, a następnie podczas wyborów. Stracili zaufanie do polityki, walczą teraz jedynie o byt, mówiąc: „przeżyłszy okupację niemiecką, przeżyjemy i tę. Dłuższy kłótnia niż przera”. Ludność polska liczy teraz jedynie na własną sprzymierzeńca, na c.e.a.s., ponieważ nic nie jest wieczne w tym życiu...”

Polska pod okupacją

Kiedy nastąpi połączenie PPS z PPR?

POLEMIKA

Komuniści w Polsce są znikomą mniejszością społeczeństwa i tylko dzięki poparciu zewnętrznemu dorwali się do władzy i przy niej się utrzymują. Wiedzą oni o swej niepopularności wśród Polaków, i dlatego starają się działać nie jawnie, ale używając wszelkiego rodzaju osłon oraz przenikając i rozkładając życie polskie od wewnątrz. Jeśli zdajemy sobie sprawę z tej taktyki komunistów, możemy lepiej zrozumieć to, co dzieje się na odcinku PPR-PPS.

W listopadzie ub. roku między PPR a powolną mu „górką” PPS zawarta została „umowa o jedności działania i współpracy”, która jest wstępnym krokiem do podporządkowania socjalistów komunistom, podobnie jak to już się stało na terenie sowieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech, gdzie istnieje „Zjednoczona Partia Socjalistyczna”. W Polsce jednak przeciwko takiemu podporządkowaniu wystąpiły „doly” partyjne oraz szereg wybitnych działaczy socjalistycznych, znanych ogólnie przed wojną. Z tymi „oporami” „jednostkami załatwiła się „Bezpieka”, aresztując je. Sprawa „dółów” jednak pozostała i o jej istnieniu dowiadujemy się od czasu do czasu do czasu z różnych dyskusji publicznych.

Ostatnio dyskusja taka wywołana została przemówieniem sekretarza generalnego PPR, Władysława Gomułki, który stwierdził, że między PPR a PPS nie ma dziś właściwie różnic ideologicznych i taktycznych oraz że dalsze odraczanie połączenia dwóch partii jest nieuzasadnione.

„W tej chwili stwierdzam tylko górkę fakty — mówił Gomułka; cytujemy według „Głosu Ludu” nr. 863 — interes całej klasy robotniczej są jednakowe i identyczne, a reprezentowane są one przez dwie partie robotnicze — Polską Partię Robotniczą i przez Polską Partię Socjalistyczną...”

„Gdy niedługo członka PPS zajętą dzisiaj, dlaczego należy do PPS a nie do PPR lub odwrotnie, gdyby niedługo członkowi PPR zadać pytanie, dlaczego należy do PPR, a nie do PPS — to z góry można zureczyć, że odpowiedź większości zapytanych nie będzie wiedziały, co odpowiedzieć...”

I dalej:

„Sprawa dalszego ideologicznego zbliżenia i ideologicznej zjednoczenia linii politycznej PPR i PPS staje się naczelnym warunkiem dla zaciśnięcia współpracy obydwu partii. Jeśli jednolity front jest pierwszym krokiem na drodze

jedności organicznej PPR i PPS, to wzajemne przyjacielskie i braterskie dyskusje ideologiczne, prowadzone na wszystkich szczeblach organizacyjnych obydwu partii winny być drugim krokiem na tej drodze.

„Polska Partia Robotnicza wierzy, że w ten sposób obydwie partie przygotują grunt dla zbrojenia trzeciego kroku, to jest dla organicznego złączenia się w jedną partię robotniczą. Byłoby to największy sukces na drodze dalszego rozwoju i budownictwa Polski Ludowej...”

Tak obcesowe postawienie sprawy fuzji wywołało nie tylko „popłoch” w „dółach” PPS, lecz nawet zaskoczenie wśród przywódców przyjacielskich komunistom. Wobec tego w tydzień po przemówieniu Gomułki Centralny Komitet Wykonawczy PPS powziął uchwałę, którą zlekka ostudził zapale komunistyczne:

„Podkreślając z całym naciskiem swą wierność rewolucyjnej idei jedności klasy robotniczej — cytujemy za „Robotnikiem” nr. 912 — używając wszystkich członków i sympatyków PPS do usilnej i szczerzej pracy nad praktycznym zbliżeniem obu partii robotniczych w Polsce, przypominając zasady umowy o jedności działania PPS i PPR — CKW stwierdza jednocześnie, iż na obecnym etapie historycznym czuwać będzie przede wszystkim nad właściwym wykonaniem litery i ducha jednolitego frontu robotniczego przez obydwie strony, dbać o wykorzystanie wszelkich praktyk z tą literą i duchem sprzecznych — i tą jedyną drogą konsekwentnie krocząc ku istotej, organicznej, a nie mechanicznej jedności ruchu robotniczego w Polsce i w świecie...”

Mimo to jednak, wiele D.P.’s korzystając z pomocy National Catholic Welfare Conference zdołało przyjechać do Ameryki. Istnieją również możliwości, że polscy żołnierze — najbliżsi krewni obywateli amerykańskich z chwilą otrzymania „affidavits of support” będą mogli też do Ameryki przyjechać. W pewnej mierze

\*)Por. artykuły tego cyklu w poprzednich numerach „Polski Walcząca”.

CO SIĘ ODWLECZE — TO NIE UCIECZĘ

W parę dni potem przewodniczący Rady Naczelnej PPS, Stanisław Szwalbe zabrał głos na łamach tego samego „Robotnika” (nr. 914) stwierdzając, że połączenie organizacyjne pomiędzy PPS a PPR jest obecnie nieaktualne i że nie należy nawet dyskutować obecnie tego zagadnienia.

„Nie należy w obecnym czasie — stwierdził Szwalbe — prowadzić takich dyskusji, jako rzeczowo nieaktualnych, a psychologicznie mogących przynieść więcej szkód, niż pożytku dla prawdziwego, długofalowego i szczerzego współzycia obu partii robotniczych...”

Równocześnie jednak „towarzysz” Szwalbe powiedział, że

„PPS jest oczywiście w zasadzie za jedną partią robotniczą”.

— tylko jeszcze nie dzisiaj.

Na zakończenie dyskusji — czasami odnosi się wrażenie, że była ona „robotna” — organ PPR, „Głos Ludu” (nr. 873) wycofał się również, pisząc, że właściwie chodzi obecnie tylko o stworzenie „jedności ideologicznej” a nie „organizacyjnej”:

„Stworzenie tej jedności ideologicznej — pisze „Głos Ludu” — oto zadanie dnia dzisiejszego. Zadanie, do którego dzisiaj można i trzeba się

zabrać. Nie jedności organizacyjnej, organicznej w sensie ścisłym tego słowa. Ta jedność organiczna będzie aktualna w przyszłości, wtedy kiedy zostanie osiągnięta jedność ideologiczna. Nie powinniśmy dzisiaj dyskutować — ani na szczeblu niższym, ani na szczeblu wyższym, ani w ogóle żadnym szczeblu — sprawy połączenia organizacyjnego PPS i PPR. O tym dzisiaj nie ma i nie może być mowy...”

Jednym słowem — co się odwlecze, to nie uciecze. Komuniści są mistrzami w różnym rodzaju rozgrywkach politycznych. Na tę metodę walki liczą oni najbardziej dla opanowania PPS.

„KLAN PERSONALNIKÓW”

Równocześnie z tą dyskusją, toczyła się inna, na odmiennie płaszczyźnie. Chodziło w niej po prostu o „posady”, które zbyt zachłannie zabierają członkowie PPR. Dyskretnie mówią o tym uchwała CKW PPS, cytowana przez nas powyżej, w której czytamy o konieczności

„coraz dalej i głębiej idącego wyrównania dysproporcji i nierówności w zakresie wpływu na bieg spraw państwowych...”

Wyraźniej te sprawy postawił stary działacz PPS, Adam Kuryłowicz, na łamach „Robotnika” (nr. 911):

„Złe wieści przychozą do nas z fabryk, hut, kopalni. Niestety że zbyt licznych zakładów pracy. Z przeróżnych stron kraju, z przeróżnych przedsię-

biorstw napływają głosy, których ton dźwięczy podobnie i wyraża jednakową skargę... Mówią, że robotnikom dzieje się krzywda, że tu i tam, w takim i takim zakładzie pracy panuje duszna atmosfera. Że znaleźli się tam ludzie, odcierani od klasy robotniczej, nie rozumiejący jej ducha, którzy prowadzą działalność samowolną i sibiuparzą. Zwalniają i przyjmują pracowników, nie oglądając się na nikogo z zalogi, przedsiębiorstwa, lekceważą i łamią prawo i zdobyte klasy robotniczej. Że oto na nowo powstał klan „personalników”... Oni wynalazli inny, nowy sposób organizowania przedsiębiorstwa i jego ulepszenia, „przeznaczając” swoiście do wykonania planu. Odkryli, że na kwalifikacje zawodowe wpływa, nawet decyduje o nich legitymacja partyjna... Uderzeniem w plan jest kierowanie się przy zwalnianiu i przyjmowaniu legitymacją, a nie kwalifikacjami i szczerym, lojalnym stosunkiem do pracy. Umniejszeniem produkcji jest wyciąganie z niej elementów faktycznego, dlatego, że nie ma legitymacji, a wprowadzenie na jego miejsce starszego, ale z legitymacją... Naruszeniem linii obu partii robotniczych jest jakiegokolwiek uczenie pracy z legitymacją partyjną...”

W odpowiedzi warszawskie ministerstwo Przemysłu i Handlu, na czele którego stoi Hilary Minc, członek PPR, ogłosiło komunikat, w którym „odrzuca kategorycznie zawarte w artykule obywatela Kuryłowicza insynuacje o rzekomych kierowaniu się przy ustalaniu osób do zwolnienia motywami przynależności partyjnej” a Roman Zambrowski w „Głosie Ludu” (nr. 871) wystąpił z gorącą obroną przed „atakami na organizację fabryczną PPR” i przeciwko „osłabianiu jednolitego frontu”.

Dyskusja ta jest znamienią i pozwala na wyrobienie sobie w pełni obrazu stosunków między PPR a PPS. Rywalizacja między tymi dwoma ugrupowaniami toczy się po dwóch torach: ideowo-politycznym oraz zawodowo-konkurencyjnym. Z tego trzeba zdawać sobie sprawę, czytając głosy polemiczne między dzisiejszą PPS a PPR.

TADEUSZ NALER

P.S.—W dyskusji na temat „klanu personalników” zabrał też głos naczelny redaktor „Robotnika”, Julian Hochfeld, pisząc w artykule wstępnym (nr. 917):

„Zostawmy sprawę kierowników wydziałów personalnych na boku. Nie dlatego, by była sprawa niezważna, ale dlatego, że jest to tylko jedna z spraw w naszym międzypartyjnym składzie różny, „nagniotki”, które od czasu do czasu musimy sobie nawzajem wywiać...”

Biedny „towarzysz” Hochfeld, cóż za przykre ma zajęcie!

Zrzeszenie Przyjaciół Polskiego Żołnierza

Polish Soldiers Aid Association, 56, St. Mark's Place, New York 8, N. Y.

VI.—POMOC W UZYSKIWIANIU WIZ DO USA\*)

Sprawa otrzymania wiz wjazdowych do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej dla tych Polaków, którzy dla takich czy innych względów nie mogą wrócić do przedwojennych miejsc zamieszkania jest w dalszym ciągu bardzo trudna.

Pomimo kilku, w tym czasie wniesionych załączonych obecnego Kongresu Stanów Zjednoczonych, o masowej emigracji do USA, przynajmniej na razie — nie ma mowy. Tak długo jak długo obowiązuja postanowienia konferencji w Teheranie czy w Jaltie — los tysięcy naszych rodaków wciąż jest jeszcze pod znakiem zapytania straszliwej i wyczerpującej niepewności.

Mimo to jednak, wiele D.P.’s korzystając z pomocy National Catholic Welfare Conference zdołało przyjechać do Ameryki. Istnieją również możliwości, że polscy żołnierze — najbliżsi krewni obywateli amerykańskich z chwilą otrzymania „affidavits of support” będą mogli też do Ameryki przyjechać. W pewnej mierze

\*)Por. artykuły tego cyklu w poprzednich numerach „Polski Walcząca”.

odnosi się to także, do tych żołnierzy polskich, którzy swego czasu złożyli w konsulatach generalnych USA „affidavits”. Obecnie sprawa wydawania wiz przez Department of State w Washingtonie jest bardziej uprasławiona.

„Ale sztywne formy przepisów istnieją, w dalszym ciągu są wyznaczone i dlatego też dostanie się do USA jest bardzo trudne. Sam fakt posiadania „affidavitu” i chęci zwiedzenia „jeszcze” Ameryki — to nie wszystko, to za mało...”

Osoby schorowane, inwalidzi, obarczeni literą i duchem jednolitego frontu robotniczego, z miejscami narazeni są na olbrzymie trudności. Polonia Amerykańska to ludzie pracy, w wielu wypadkach pracy ciężkiej, wyczerpującej. O jakiegokolwiek możliwościach opieki społecznej ze strony Polonii nie ma mowy, zaś miejska czy też stanowa i federalna nie przysługują jedynie obywatelom.

Dlatego też w listach pisanych do Zrzeszenia Przyjaciół Polskiego Żołnierza należy wyczerpująco napisać o sobie i swoich zamiarach. Wszególnie możliwości, posiadane zasoby — każda sprawa traktowana jest poufnie. W chwili obecnej Zrzeszenie PPŻ występują

do State Department w jakiegokolwiek sprawie związanej z wydaniem wiz wjazdowych dla tych polskich żołnierzy, którzy już posiadają „affidavits of support” i są zarejestrowani w konsulatach amerykańskich — musi posiadać następujące dane: Name of Immigrant, Date and place of birth, Occupation, Present address. Where visa application was made, When visa application was made, Number if such assigned, Who furnished affidavit of support (imiona, nazwiska i stopień pokrewieństwa jeśli krewny i adres). Immigrant's relatives in the United States (imie, nazwisko, stopień pokrewieństwa i adres), podpis.

W związku z tym wszyscy ci polscy żołnierze, którzy kiedykolwiek zwracali się do Zarządu Głównego Zrzeszenia PPŻ z prośbą o pomoc w uzyskaniu wizy WINNI JAK NAJPRZEDZIEL DANE WŁOJE UZUPEŁNICIĆ. Dotyczy to tych wszystkich, którzy nie otrzymali dotychczas „affidavits of support”.

UWAGA — według ustawodawstwa USA osoba wystawiająca „affidavit of support” całkowicie rezygnuje za sprawowaną osobę, dlatego też nie jest to jedynie sprawa formalna.

JERZY LASZKOWSKI

# N A S Z E Z N A N I E

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW 7 CZERWCA 1947 Nr. 8

## Przed naszym zjazdem

Wszyscy dobrze wiemy, że nie jest nam lekko żyć na obczyźnie. Natomiast nie wszyscy wiemy, że będzie nam jeszcze trudniej, o ile nie potrafimy pomagać sobie wzajemnie.

Nie wszyscy chcemy wiedzieć o tym, że pozostajemy na emigracji nie dla ochrony własnej skóry i wygod życia, lecz dla pracy, która ma służyć Krajowi.

Jakże więc mamy obecnie określać naszą postawę wobec rzeczywistości, w której żyjemy?

Czy mamy z pochylonymi głowami, w głębokim smutku, rozproszyć się i zniknąć z powierzchni ziemi, jako Polacy, i iść tułaczem szlakiem w poszukiwaniu za chlebem?

Czy mamy w imię chęci fizycznego trwania służyć bezkrytycznie cudzym interesom, zatracając własny charakter i dążenia?

Jaka jest hierarchia naszych celów? Czy jest to osobisty dobrobyt za wszelką cenę osiągnięty, czy trudne życie wolnego człowieka, nie ustającego w walce o niepodległość swego narodu?

Może rozumne połączenie tych dwu założeń jest najstuszniejsze.

Już najwyższy czas wy dobyć się z marazmu i otwarcie, uczciwie zdać sobie sprawę ze wszystkiego, co jest w nas fałszywe i złe. Musimy wszyscy stanąć do roboty zgodnie z zasadą „jeden za wszystkich — wszyscy za jednego”.

Nie mamy prawa poddać się biernie losowi i trwać w bezczynności i nieświadomości. Swoje sprawy bierzmy w swoje ręce! Czynnymy to możliwie prędko i rozważnie.

Tego rodzaju pytania i wątpliwości nasuną się prawdopodobnie licznym delegatom Kół SPK, którzy dnia 17 czerwca br. przybędą na Walny Zjazd Delegatów do Londynu.

Organizacja kombatancka wyrosła z pięknych tradycji walki o niepodle-

głość, skupiła w sobie tych, którzy pragną pomnożyć wartości wypracowane w okresie wojny.

Kombatanci to ci, którzy rozumieją, że w chwili dzisiejszej nie ustala dla nich także walka o poziom życia na obczyźnie.

Wartość organizacji kombatanckiej nie polega na dyskutowaniu bohaterstwa, lecz opiera się na twórczej pracy i codziennym zbiorowym wysiłku.

Wiele zagadnień będzie poruszonych na Walnym Zjeździe SPK, ale nie wszystkie możemy rozwiązać sami — są one często bardzo skomplikowane i niezależne od nas.

O wielu jednak sprawach możemy decydować. Rozwiązanie ich zależy od naszej dojrzałości społecznej.

Walny Zjazd Delegatów wykaże, czy jesteśmy zdolni do zorganizowanego i planowego działania; określenia wyraźnej postawy ideowej i metod działania na najbliższą przyszłość.

Wierzmy, że Walny Zjazd będzie pełnym wyrazem naszych dążeń i potrzeb.

LEON WALSKI

## Różnice

(Korespondencja własna z Belgii)

Każdy z nas, członków SPK na terenie Belgii, słucha z podziwem i zazdrością wiadomości o szybkim rozwoju szeregów naszego Stowarzyszenia na terenie W. Brytanii i stref okupacyjnych w Niemczech. Imponują nam cyfry członków, stale wzrastające w życie coraz to nowych pomyślnych. Zastanawiamy się, że mimo najlepszych chęci i dużego wysiłku — nasze osiągnięcia są tak małe w porównaniu z tamtymi. Szukamy gwałtownie przyczyn, dopatrujemy się w naszym postępowaniu błędów, analizujemy wielokrotnie metody pracy. Dlaczego u nas ruch kombatancki rozwija się wolniej? W czym tkwi błąd? Jakie różnice...

I w tym momencie, gdy padło słowo różnice, zaczynamy jasno zdawać sobie sprawę, że nie jest tak źle, jakby mogło wydawać się komuś, kto badałby tylko cyfry statystyczne, nie wnioskując w istotę sprawy. Zasadniczą i pierwszą różnicą jest fakt, że Polacy na terenie Belgii muszą żyć w warunkach normalnych. Nie istnieje bowiem tutaj ani PKPR, ani UNRRA, ani inne tego typu organizacje czy instytucje, które troszczą się o jedzenie i dach nad głową dla Polaków, są natomiast fabryki, kopalnie, przedsiębiorstwa handlowe — czekające na siły robocze. W Belgii, zamiast zasiłku, każdy z nas może dostać pracę. Zapotrzebowanie na nas, pewnego rodzaju ubieganie się o nasze usługi przez pracodawców — obudzili Polaków z bezwładu. Uświadomiliśmy sobie, że dysponujemy poważnymi wartościami. Wszliśmy w życie na prawach nie DP-ów czy PWX-ów, ale ludzi normalnych.

Drugą różnicę stanowi fakt, że na terenie Belgii istnieje zwarta grupa t.z.w. „starej emigracji”, rządząca się ustalonymi przez lata zasadami, posiadająca swoją tradycję, organizację i dostosowane do zainteresowań i potrzeb — metody pracy. Najbardziej istotną cechą postępowania tych ludzi jest głęboka nieufność do „przybyszów”, przede wszystkim do inteligencji. Objaw ten, nad wyraz smutny, znajduje jednak uzasadnienie w postępowaniu

naszyc władz sprzed 1939 r., kiedy to emigrantów, w większości górników, traktowano jako masę, która koniecznie musi być kierowana. Obecna nieufność wynika z obaw ponownego opanowania wszystkich stanowisk w życiu społecznym przez inteligencję.

Dalszą różnicą jest wyraźny podział na dwie zwalczające się grupy: pro i anty-komunistyczną. Cały szereg ludzi boi się narazić jednej lub drugiej stronie i woli nie angażować się w życie społeczne. „Nie wiadomo przecież, co może nastąpić” — jest ich zasadą życiową.

Polacy w Belgii żyją przeważnie w „koloniach”, we własnych ośrodkach, w atmosferze małych miasteczek. Każdy wie, co robi sąsiad, jak żyje, co myśli, co czuje. Na tle takiego życia powstaje szereg sporów. Najdrobniejsza kłótnia zmienia się w wojnę rodzin i wywiera bardzo szkodliwy wpływ na życie organizacyjne. Ambicje osobiste, walki o presurę czy sekretariat zniechęcają cały szereg ludzi do pracy społecznej. Brak dyscypliny organizacyjnej uniemożliwia ciągłość pracy, nie dopuszcza do stworzenia stałych podstaw finansowych.

Przedstawiony stan faktyczny, ujęty w „różnicę”, nie budzi zachwytów, ani nie nastroja zbyt optymistycznie. Mogłoby się wydawać, że możliwości rozwoju pracy nie istnieją. Jednak tak nie jest. Na podstawie obserwacji terenu stwierdzić należy, że przełamano już częściowo wzajemną nieufność „starych” do „nowych”. Na bardzo wielu odcinkach życia organizacyjnego widać już ścisłą współpracę jednych i drugich. Ludzie po ustabilizowaniu się materialnym zaczynają odczuwać potrzebę organizowania się.

Mimo niejasnej sytuacji politycznej coraz więcej ludzi wstępuje w szeregi naszego Stowarzyszenia. Na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy liczba Kół SPK podwoiła się. Do przestojności należą już spory pomiędzy istniejącymi na tutejszym terenie organizacjami kombatanckimi, czego wyrazem był między innymi ostatnio odbyty w Brukseli walny zjazd Oddziału SPK na Belgii. Wybrany na miejsce dotychczasowego Komitetu Organizacyjnego — stały Zarząd Główny Oddziału przystąpił energicznie do pracy w terenie.

Dość wysiłku poświęca się stworzeniu samodzielności finansowej SPK w Belgii. Jest to problem bardzo trudny. Sprawa ta spotkała się ze zrozumieniem władz naczelnych w Londynie i mamy nadzieję, że obietnice zostaną w pełni zrealizowane.

Musimy sobie zdać sprawę, że do pracy w Belgii przybędzie w ciągu najbliższego okresu kilkadziesiąt tysięcy Polaków, przeważnie b. wojskowych. Winni oni spotkać tutaj organizację, zapewniającą im pomoc i oparcie. Ten nasz najbliższy cel znalazł pełne zrozumienie w terenie i musi być w pełni wprowadzony w życie.

Bruksela, w maju.

D.

## PRZESTAŃCIE

Przestańcie już przeżuwać przeszłości gorzki piótn,  
Przestańcie się już chełpić ogromem dawnych mąk;  
Przestańcie wycekiwać — czas wreszcie ruszyć spolem,  
Czas zagiąć już rękawy, chociaż u słabych ręk!

Nie chcecie żyć z jalmużny, bo mówiąc o nierobach  
Opinia będzie miała na myśli tylko was;  
Przestańcie w milionowych narzeczach grzebać grobach,  
Ale obudźcie życie wśród pozostałych mas.

Musimy Im wystawić potężny, wielki pomnik  
Z kamieni drobnej pracy — każdego na nią stać;  
Nad granit bohaterstwa niechaj się wyogromni...  
Szlachetniej mało zdobyć, niż dużo darmo brać!

Umiemy w krwawej walce brać twierdze niezdobyte,  
W porywie bohaterstwa, co krótki okres trwa,  
Lecz męstwo obowiązku napawa nas przesytem,  
A trzeba nam na zimę przyszłości rąbać drwa...

Przestańcie więc już szukać wygodnych, krętych ścieżek,  
Bo na nich zniknie z oczu tułaczki naszej cel;  
Wstawijmy amaranty czerwona krewią, żołnierze,  
Musimy teraz walczyć o polskiej pracy biel!!!

Schongau (Niemcy)

STANISŁAW ZYBAŁA

## Biuro paczek S.P.K.

Wysła do Kraju względnie do obozów na terenie W. Brytanii paczki wykonane bądź to przez siebie, bądź też przez firmy, których uczciwość i solidność została wypróbowana.

W chwili obecnej Biuro posiada na składzie następujące paczki:

I.A.—paczki z obuwiem: buty juchtowe z choleściami, przerobione. Cena do Kraju £1.14.6, w W. Brytanii £1.10.7. Szczegóły w prospekcie.  
I.B.—trzewiki damskie — nowe. Cena z wysyłką do Kraju £1.8.4.

Dział lekarski: cennik w biurze paczek SPK.

Paczki z surowcami farmaceutycznymi:

Typ paczki	Cena	Wartość w Kraju
II.DS1	£7. 0.0 w dwóch	17.000 zł
II.DS7	£5. 0.0	12.000 zł
II.DS18	£3.10.0	8.000 zł
II.DS19	£2.10.0	5.000 zł

Paczki te są przesyłane za pośrednictwem firmy w Warszawie, która

zgodziła się wypłacać na życzenie odbiorców wyżej podaną równowartość paczki.

Paczki z papierosami:  
IV.A 1.000 sztuk Three Stars £3. 0.5  
IV.B 1.000 sztuk Gold Leaf £3.10.0  
Paczki z materiałem III.A i  
Paczki z nasionami III.B.

Szczegóły w prospekcie — prospekt do otrzymania w biurze paczek SPK: 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.

W poprzednim numerze „Naszego Znak”, w pierwszej części tego reportażu, była mowa o Polakach pracujących na farmie dobrego gospodarza — Skota. Gospodarz był zadowolony ze swoich pracowników, z pracowni, z niego. Nie wszędzie jednak stosunki układają się tak pomyślnie...

Na tropie wyżysku  
Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy do następnej z kolei farmy.

— Teraz jedziemy do farmera, który jest bardzo niezadowolony z żołnierzy — objaśnił John. — Jego farma jest zaraz za tym pagórkami. Zdaje się, że on miał zżoże.

Ostatnie objaśnienia były niepotrzebne, bo wóz wyskoczył na wzdórek i na pochyłości pola przed nami ukazała się farma, obok której stało kilka stogów zboża. W pobliżu ujwiali się ludzie pracujący przy mechanicznej młocarni.

Podjechaliśmy pod same stogi, gdzie John przystanął tak, że nie wysiadając z wozu mogliśmy przyglądać się pracy.

Ruchome taśmy wciągały snopy zboża do młocarni, która młóciła, czyściła i napełniała wózki ziarnem. Następnie inne taśmy zabierały wózki na stojący w pobliżu samochód. Ludzie poustawiani wzdłuż młocarni, musieli się uwić, by nadążyć za maszyną. Jedni podawali snopy, inni je rozwiązywali i układali na taśmie, podstawiali wózki pod oczyszczone ziarno, odrzucając słomę na bok i układali nową stertę, wiązali wózki i ładowali na wóz. Każdy miał swoją pracę wyznaczoną i musiał się spieszyć, by innych

nie zatrzymywać przez stworzenie „korka”.

W pewnej chwili traktor, napędzający młocarnię, zakrzuszył się, „pyknął” parę razy dymem i stanął. Zatrzymaliśmy się taśmy nośne i cała robota została przerwana. Mechanik zaczął coś dłużyć przy silniku, robotnicy zaś zeszli ze swoich stanowisk na papierosa, korzystając z nieoczekiwanej przerwy.

— Może ktoś nie ma papierosa, to proszę? — powiedziałem przez okno samochodu w kierunku grupy żołnierzy. Oglądali się z niechęcią, ale z zaciekawieniem częściowo i zniechęceniem podszli do ociągającego. John wysiadł, by porozmawiać z farmerem, a mnie zostawił samego z nimi.

— Ciężka robota — rzuciłem niby od niechcenia tonem znawcy.  
— Nie byłaby ciężka, gdybyśmy nie pracowali na akord — odezwał się jeden.

— Jak to? Pracujecie na akord?  
— My nie, ale Szkoci pracują.  
— No to co z tego, że Szkoci pracują na akord? — zapytałem, nie rozumiejąc o co chodzi. — Niech pracują, jak im się chce.

— Tak, ale oni pracują razem z nami i my musimy im tempa dotrzymać!  
— Widzi pan — dodał inny objaśniająco — farmer chce zrobić interes. Za

nas płaci normalnie stawki, natomiast Szkotów najmuje i płaci im od wózka wymłóconego zboża. Nic więc dziwnego, że Szkoci pedzą.

Niemca łatwiej było wykorzystywać

— Ale przecież chyba tak nie można? Przecież to jest niezgodne z ochroną pracy?

— Jaka tam ochrona pracy? — wtrącił któryś drwiąco. — Musimy się sami ochraniać, by nas „pampon” nie wyzyskiwał. Co jakiś czas któryś z nas nie może nadążyć i muszą zwolnić szybkość motoru, by wyrównać.

— A farmer nie na to nie mówi?  
— Mówi, ale my i tak sobie z tego nic nie robimy. Gdyby jeszcze jakiś po ludzku do człowieka przemówił, to co innego. A on nic, jeno „rychtyk” powtarza, że Niemcy lepiej u niego pracowali. To my się tak zawzięli, że jak on o Germanach, to my wolniej. On się widocznie już zmiarkował, bo teraz nie nie mówi.

— Niech pan powie — wtrącił jakiś starszy żołnierz, — czy to człowieka serce nie boli. Tyle się każdy z nas naterał po świecie, tyle się od Niemców naciępał, żeby mu na koniec jeszcze dawali ich za wzór. Dziś nikt nie interesuje się tym, że Niemcy nie pracowali dla zasady, ale dla tych papiero-

sów, które im dawano i dla obiecanego im szybkiego powrotu do kraju. To ich nie obchodzi. Grunt, że pracowali dobrze. Wszystko Niemcom zapomnia: Hitlera, S.S., Belsena — a będą pamiętali tych dobrych, pracowitych Niemiaszków.

— To najlepiej świadczy, jak po „businessowsku” podchodzi Brytyjczycy do wszystkich rzeczy — rzekłem.  
— Był wrogiem, teraz jest nieszkodliwy, więc do interesu od nowa. Zda się, że nieestety na to nie poradzimy.  
— Jak to nie? — przerwał jakiś krewki, młody żołnierz. — Możemy w ogóle nie pracować, jak nam każą brać przykład z Niemców. Niech sobie wezmą Niemców, jak im tacy mili!

Lepiej jednak dobrze pracować

— Głupi jesteś — zburknął go jego starszy kolega. — To nam wcale nie pomoże, a tylko zaskodzi. Spróbuj nie robić! Zobacysz, co w gazetach napiszą o „Poles”.

— Ja to sobie tak myślę — ciągnął dalej, — że najlepiej nie zwracać uwagi na to, co mówią, a robić swoje. Mają o Niemcach mówić, niech gadają o Polakach, że dobrze pracują.  
— Tak, to jest jedyne wyjście — poparłem go. — Tym bardziej, że niektórzy z nas chcą w tym kraju

pozostać i wziąć się za pracę cywilną.

— Właśnie — podchwycił mój rozmówca. — Jak może który z nas dostać w przyszłości dobrą pracę, jeżeli wyrobimy sobie złą opinię? Czy nie lepiej popracować teraz, by później było łatwiej dostać jakąś pracę? Nawet, gdyby ktoś roboty tej nie lubił i nie był do niej przekonany, to warto popracować choćby dla propagandy. Będzie to propaganda nie tylko dla tych, co tu zostają, ale i dla tych, co jadą do Polski; w ogóle dla Polaków.

— Zdaje mi się, że ma pan rację. Lepiej popracować teraz dla propagandy, żeby później propaganda pracowała dla nas — dokończyłem, widząc zbliżającego się Johna.

— Możemy jechać? — zapytał John.  
— Naturalnie. Cześć! — rzuciłem na pożegnanie, gdy wóz ruszał na następną farmę. Widocznie i traktor musiał zostać naprawiony, bo widziałem odjeżdżając, jak żołnierze zajmowali z powrotem swoje miejsca przy młocarni.

Na innych farmach okazało się, że niekiedy farmerzy mieli rację i zaliłi się szluznie. W czasie objazdu farm udało się wyjaśnić wiele niedomagań i zebrać wiele spostrzeżeń, którymi podzielił się na końcu z Johnem.

Wracając do obozu wieczorem, zastanowiłem się nad słowami żołnierza z drugiej farmy.

Ciekaw jestem, czy Szkoci nadążyli za naszymi?...

ST. JASIOTA

Walny Zjazd Oddziału SPK w Belgii

W dniu 27 kwietnia br. został ukonstytuowany Zarząd Oddziału SPK w Belgii — na Walnym Zjeździe, który się odbył w Brukseli.

Przemówienia wstępne wygłosili: w imieniu: Zjednoczenia Polskiego Uchodźstwa Wojennego w Belgii — kol. ppłk. Tadeusz Zdanowicz; Polskiej Likw. Misji Wojskowej — kpt. Zdanowicz; POWN — prezes p. E. Pomorski; Komitetu Wykonawczego SPK w Londynie — kol. J. Maślinski; Oddziału SPK na okup. bryt. w Niemczech — kol. Sas Korczyński; Komitetu Organizacyjnego SPK w Belgii — kol. W. Dehnel.

Na Zjeździe podkreślono potrzebę ściślejszej współpracy z kolami kombatanckimi w innych krajach na Zachodzie, oraz położono nacisk na sprawy związane z przewidzianym w niedalekiej przyszłości napływem kolegów z Niemiec do pracy w Belgii. Postanowiono w formie uchwał wejście w bliskie stunki ze Związkiem Polaków w Belgii i wezwaniem wszystkich b. wojskowych polskich na terenie Belgii do wstępowania do SPK. Szereg innych uchwał i dezyderatów złożył się również na owocny wynik prac Zjazdu.

W wyniku wyborów przeprowadzonych w zgodnej i przyjaznej atmosferze w skład Zarządu Oddziału SPK na Belgię weszli koledy: Michalik — prezes, Dehnel i Górski — wiceprezesi, Szuman — sekretarz, Zwoliński — zastępca sekretarza, Fjolek — skarbnik, Kasprzyk — zastępca skarbu, Janiszewski i Fluder — członkowie Zarządu.

Na przewodniczącego Komisji Rewizyjnej wybrano kol. T. Zdanowicza, a Sądu Honorowego — kol. Al. Zdanowicza. Radcą prawnym SPK w Belgii został kol. mec. Krakowski.

Zjazd w Brukseli i ukonstytuowanie się władz Oddziału SPK w Belgii jest dowodem dalszego rozwoju i krzepnięcia szeregów naszego Stowarzyszenia. Idziemy wciąż naprzód!

Ostatnie stadium emigracji?

„Nasz Znak” nieraz już zwracał uwagę na niebezpieczeństwo różnych „chorób emigracyjnych”, które — jak w jednym z poprzednich numerów Jan Przedczak przestrzegł — zyczą się od „zbiwania odczytów”, a kończą się... Oto autentyczny list nadesłany niedawno do SPK. Podajemy go w całości bez żadnych zmian:

„DO WYDZIAŁU WYDAWNICZWA STOWARZYSZENIA POLSKICH KOMBATANTÓW; Z OKAZJĄ WASZEGO KONKURSU na Pamiętniki Emigrantów...”

mam Wielki zaszczyt zapoznać się z Wami jak również i porozumieć się z Wami. O właściwy tekst przyszedł Książki przez nas Ułożonych. co według moich Wykładów jako POLSKI DORADCA PSYCHICZNO OKULISTYCZNY DYPLOMOWANY przez INSTYTUT LIGI ŚWIATOWEJ PROFESORA DUMONTA. A by zmienić nagłówek P.E. A zastąpię naprzykład ja jako Autor wy jako nadawca od W.S.P.K. Tekst ku zadocę Ucznieniu Sprawiedliwości. z redagowana Przesłodzi, i Doświadczenie z Obecnych Wydarzeń, i Osztzerzenie naprzyszłość, i zabezpieczyć Spokuj na Setki lat,

to zobaczycie jaki będziecie mieć zakup milionowy ito w następujących Językach, jak AMERYKAŃSKI ANGIELSKI FRANCUSKI POLSKI NIEMIECKI HOLENDERSKI TURECKI JUGOSŁOWIAŃSKI SZWECKI I NORWESKI.

Podstawowe Pakty Moich WYKŁADÓW będa tego rodzaju 1) muj Życiorys i stopniowo bezemnie rozpoznawanie Tajemnic nadludzcy Luckosci Świata Cywilizowanego. i jako postempowo OSWIATOWY dam dowody jako Wyobrażenie jakie ma znaczenie. 2) BÓG A ŚWIAT, 3) STARY A NOWY DESTAMENT, 4) PISMO ŚWIENTE A HISTORIA LUCKA, 5) NATURA A IDEJA, 6) CYWILIZACYJA A OŚWIATA. A wcalem słowa znaczeniu moich WYKŁADÓW, to Generalna moja RADA tojest PERSWAZYJA I OSZTRZEZENIE, dla wiecznego Pokoju naprzyszłość, tylko według moich Wykładów A KONKURSEM to, ta Premija 60 Fontów Sztirlingów niewystarczająca.

SPRZYJACIELSKIEM POZDROWIENIEM i Serdeczny Uścisk Dłoni.

Wydział Wydawniczy SPK upoważnił nas do zakomunikowania na tym miejscu Skoronemu Autorowi listu, że niestety nie może skorzystać z tak cennej i potrzebnej rozpoznanie Tajemnic nadludzcy Luckosci Świata Cywilizowanego. musi jednak poprzestąć na ustalonej premji 60 Fontów Sztirlingów. A ze swojej strony podziękować Kochanemu Autorowi za ten list, ponieważ jest on dla niedzielnego i obecnej emigracji przestroga, aby jak najprędzej porzucił rozpoznawanie Tajemnic nadludzcy Luckosci Świata Cywilizowanego, a zajął się istotnymi sprawami codziennego życia normalnego człowieka. Taka jest nasza Generalna Rada, to jest PERSWAZYJA I OSZTRZEZENIE.

Dom bez ogniska

Urok obozu przejściowego W obozie Damfield Lane, nawet w najcięższym, początkowym okresie wszystko szło jak w zegarku. Oboz działał sprawnie jak olbrzymi hotel o 600 łóżkach, przyjmując nieraz dwukrotnie w ciągu tygodnia partie po 200-300 osób, dla których zawsze bez względu na porę dnia i nocy, czekały przygotowane białe, czyste prześcierała i gorąca herbata. Był to wówczas jeszcze oboz przejściowy i główną troską przyjezdnych było, aby jak najdłużej odwiec moment przeniesienia do innego, stałego obozu.

Komendant obozu — ruchliwy jak rękę i wszędzie obecny mjr. K., stosunkowo najmniej miał kłopotu z tymi opornymi, którzy, zasmakowawszy we względnym komforcie, po wycyżaniu swoich nazwisk na wyjazd, oświadczały dramatycznym tonem: — Ja nie wyjadę, panie majorze!

Pomimo to wyjeżdżali, ustępując miejsca setkom nowych przybyszów, bo w obozie panowało bezwzględne poszanowanie porządku i protekcyjne zabiegi nie odnosiły skutku, na przekór przerosniętym ambicjom niektórych wyższych szarż w spódnicy.

System administracji obozu był wówczas nieskomplikowany i opierał się głównie na personelu wojskowym. Tylko pomocnicze siły do kuchni i jadalni werbowane były spośród mieszkańców. Przedstawicielem władz cywilnych był Delegat ITC, który zajmował się głównie rejestracją nowoprzybyłych i rozdziałem darów odzieżowych.

Przysmażona cebulka a samorząd

Z nadejściem zimy oboz został przeorganizowany na stały, przyjmując formy tego znanego na ogół wszystkim wojennego nowotworu, który nie ma wiele wspólnych cech z normalnym osiedlem ludzkim, jednak zaspakaja najprymitywniejsze potrzeby mieszkaniowe ludzi bezdomnych, żywi ludzi bez środków do życia i stwarza pozory zatrudnienia bezrobotnych. Atmosfera lenistwa, plótki i dosyć beznadziejnego wyczekiwania nie wiadomo na co — towarzyszy nieodłącznie takiemu zupełnie przypadkowo zebranemu skupisku ludzi.

Trzykrotnie w ciągu dnia wszyscy

mieszkańcy obozu spotykają się w długim wężu kolejki w oczekiwaniu na wydawaną posiłek. Przy stołach, nakrytych białym obrusem, rozważają kuchenne wydarzenia dnia:

— Kasza dziś nie jest stęchła, ale sos do mięsa zbyt rzadki i o dziwo — w zupie pływają kawałki podsmażonej cebuli.

To, żeby cebula do zaprawiania zupy była podsmażana, a nie surowa, było przedmiotem paromiesięcznych starań mieszkańców. Dużo o tym się mówiło i nareszcie przed Wielkanocą — nowy gospodarz kuchni, nowy kucharz, przysmażona cebulka i w ogóle znacznie lepsze, bardziej urozmaicone jedzenie — to sukcesy obozowego samorządu.

Samorząd istnieje od marca — jest wójt, ławnicy, radni, wydział wykonawczy, komisje — wszystko to ma stworzyć pozory normalnego, gromadzkiego życia. Były wybory — teraz są intrzygi. Według starych, przedwojennych, kontyentalnych metod — atakuje się pewne osoby po to, aby opróżnić pewne stanowiska. Wczorzym w świetlicy, przy kawie — tylko nieliczni nie zajmują się obmową.

Nie warto pracować

Pięćdziesiąt sześć-izbowych, smolowanych baraków z falistej blachy, jak wielkie czarne żuki, lśni w blasku laskawego wiosennego słońca wśród klaków wyrudziałej trawy. Między nimi wije się polyskliwa pętla asfaltowej drogi i węższe odgałęzienia asfaltowanych ścieżek. W obozie nie ma błota, w zacisznych baraczkach ustępowo-umywalnianych panuje czystość i zapach środków dezynfekcyjnych. Kto chce uniknąć obowiązku sprzątnięcia tych pomieszczeń, płaci szyling.

W inspekcjach porządkowych bierze teraz udział przedstawiciel Assistance Board, który przejął po ITC funkcje opiekuńcze. Do jego obowiązków należy żywienie mieszkańców, wypłata „pocket money” i ściąganie opłat za utrzymanie od osób pracujących. Tylko 43 pracowników administracyjnych obozu z pensją miesięczną od £4 do £13 nie płaci za swoje utrzymanie. Odcieczane im są tylko jakieś stosunkowo nieduże potrącenia — nikt nie wie na pewno, na co. Natomiast wszyscy inni pracujący zarobkowo w obozie czy poza

obozem muszą płacić za utrzymanie około 25 sh. tygodniowo za siebie i za każdego z członków rodziny, przy czym cała rodzina traci prawo do „pocket money”. Jak wykazuje proste obliczenie, w tych warunkach praca nie opłaca się głowom liczejszych rodzin.

Nauka angielskiego dla Anglików

A właśnie rodziny z dziećmi w przeważającej mierze są lokatorami obozu. Na ogólną cyfrę około 450 mieszkańców cywilnych, blisko 250 stanowią kobiety i 80 dzieci. Dzieciom powodzi się tu dobrze — są otoczone specjalną opieką. W przedszkolu i szkole powszechnej mają dożywianie w formie drugiego śniadania i podwieczorku. Poza tym otrzymują tran, sok i galaretkę pomarańczową. Przy różnych okazjach dostają liczne prezenty w postaci słodyczy, owoców i zabawek. Oczywiście istnieje przymus nauki.

Niestety przymus ten nie jest stosowany do dorosłych, którzy mają niedużo możliwości i chęci do rozszerzenia zasobu wiedzy. Jedyną formą dokształcania zawodowego są kursy kroju i zycia dla pań. Wykłady angielskiego nie są dosyć gorliwie uczęszczane. Tylko w kompanii administracyjnej, gdzie nauka języka jest przymusowa, rezultaty są godne uwagi.

Spoleczeństwo angielskie okazuje mieszkańcom obozu dużo życzliwości. Burmistrz miasteczka Naghull — p. Moreton — zorganizował wieczorki konwersacyjne, ściągając do obozu licznych Brytyjczyków. Niestety, podobno czasami bywało ich więcej niż Polaków, którzy wolą w inny sposób spędzać czas.

„Spędzanie czasu” — jest głównym zajęciem we wszystkich przymusowych obozach świata. Ale pobyt w obozach cywilnych w Anglii nie jest przymusowy. Właśnie znajomość języka pozwala wyjść z obozu i zająć właściwe miejsce w życiu wolnych ludzi.

Na naukę języka angielskiego powinno się poświęcić większy nacisk. Ze tego dotychczas nie zrobiły władze obozowe — to jest jedyne poważne zaniedbanie w obozie przy Damfield Lane.

ZET CEZET

Listy do Redakcji

O PEWNYM TRANSPORCIE RODZIN

Niedawno przeczytałem w naszej prasie interesujący artykuł na temat transportu rodzin I. Dywizji Pancernej. Taki miły, pogodny, uspokajający artykuł.

Wkrótce potem sam jechałem transportem wojskowym, zorganizowanym z przysłówiową już „angielską sprawnością”. Gdyby nie sztorm, który dał się nam nieźle we znaki, podróż tę można by było traktować, jako miłą wycieczkę.

Listy, które po takiej podróży pisałimo do naszych rodzin, były jak najbardziej optymistyczne.

Tymczasem jednak transport, który wyjechał z Niemiec 9 maja br. stał się udręką dla jadących nim żon i dzieci żołnierzy I Dyw. Panc. i I Sam. Bryg. Spad. — żywym zaprzeczeniem sprawnej organizacji.

Już sam wygląd wagonów podstawionych do załadowania w Bramsche (okup. bryt. Niemiec) wzbudzał jak najdalej idące zastrzeżenia. Brudne, niechlujne wagoniska, które dawno zapomniano, jak wygląda szcztka i ścierka.

Nie wiem, kto powinien odpowiadać za stan taboru, ale wiem, że brytyjska matka nie wsiadaby z dzieckiem do wagonu, który swym wyglądem budziłby niemiłe skojarzenia z ... chlewem.

Ponieważ transport ruszył wczesnym rankiem, przewidziane było śniadanie w Oldenburgu. Ograniczyło się ono niestety do niewielkiej ilości herbaty, która dotarła jedynie do żołnierzy towarzyszących i ich rodzin — i to nie wszystkich. Większość matek z małymi dziećmi, jeśli potrafiły same zakrzętnąć się, otrzymała t.zw. „wrzątek” — letnią wodę, nadającą się najwyżej do ... mycia zębów.

W Cuxhaven sytuacja polepszyła się — podano smaczny obiad, szkoda tylko, że nie poprzedzony myciem się po podróży. Nocleg przygotowywano w wygodnym „Transit Campie” Brytyjskich Rodzin Wojskowych (Hotel „Atlanta”).

Po całodziennym pobytku w hotelu — wyjazd samochodami do portu, szybkie sprawdzenie dokumentów i wreszcie załadowanie na statek.

Pogoda dopisała i można by darować nawet wybitnie niedostateczne jedzenie na statku (nie wiadomo dlaczego bez sakramentalnego „tea”, co roziagnało przerwę między obiadem a kolacją do siedmiu godzin), gdyby z jakichś bliżej nieznanych przyczyn podróż nie przedłużyła się o dwa dni, z których jeden spędzono w wejścia do portu, drugi zaś w porcie Leith (Edinburgh).

Ciasnota, łatwa do zniesienia w krótkim czasie, lecz bardzo uciążliwa wobec przedłużania się podróży, krzyki głodnych i wymęczonych dzieci — sprawily nastroj, przypominający „Okręt Potępieńców”.

Dodajmy jeszcze pijanego, obłego kelnera, który w sposób obraźliwy zalecał się do matek i polewał zupą dzieci, a otrzymamy obraz daleki od sielanki z niedawnych artykułów.

W porcie długie godziny zbędnego oczekiwania w ściśku, dalsze godziny w natłoczonym do niemożliwości „sitting roomie” na statku, wreszcie załadowanie do pociągu po osiem osób do sześciu-osobowych przedziałów i jedenastogodzinną podróż wolno wlokącym się pociągiem dopełniły resztę.

Na małej stacyjce Market Rizen, po sześciogodniej makabrycznej podróży, po całonocnej jeździe w natłoczonym pociągu — wyspał się tłum umęczonych, brudnych częstokroć postaci,

bez bagażu, który gdzie indziej tymczasem powędrował, bez możliwości zmiany zbrudzonej podróżą bielizny, by samochodami udać się do obozu (Ludford Magna). Komendant tego obozu uprzedził na wstępie, że mimo wysiłków jego i przydzielonych mu żołnierzy z I Sam. Bryg. Spad., oboz ten wiele pozostawia do życzenia.

O innych obozach dla tego transportu rodzin można mniej więcej to samo powiedzieć.

Wracając do organizacji transportu, należy stwierdzić, że tak brytyjskie czynniki organizacyjne nie dopisały w szkodliwy sposób, jak i polska strona zawiłła w znacznym stopniu. Komendantem transportu powinien być energiczny oficer, najlepiej bez własnej rodziny, ponieważ to okazało się za mało dla niego absorbujące. Powinien on odznaczać się taktem i dużą cierpliwością i koniecznie mieć pod ręką — pejcz, którym mógłby przywracać równowagę i rozsadek pijanym kelnerom, jeśli nie potrafią tego zrobić ich przełożeni.

Zespół towarzyszących żołnierzy powinien tworzyć zdyscyplinowaną drużynę, niezwiązaną — w miarę możliwości — z żadną z osób transportu i wykonującą ściśle rozkazy komendanta.

Byłbym niesprawiedliwy, gdybym mówił o całosci transportu w sposób krytyczny, nie wspomniał o wybitnie gentelmańskiej postawie kapitana Waltera z 10 Sądu Polowego, który swym zachowaniem wzbudził ogólny szacunek i wdzięczność osób jadących tym transportem, a także o wybitnej pomocy Pań z polskiego Komitetu Pomocy Polakom, które w porcie Leith z największą troskliwością niosły ulgę dzieciom i zmordowanym ciężką podróżą matkom.

17.V.47.

R. Białous

Poradnik żołnierski

Hotelarz

Otrzymałem odpow. edzialnego zajęcia w jakimś większym hotelu wymaga dużej poprzedniej praktyki, która w danym wypadku ma pierwszeństwo przed wykształceniem. Dla informacji podaję, że prawie wszyscy poważniejsi pracownicy hoteli w Londynie czy na prow.acji, pracę w hotelach zaczynał od najmłodszych lat. Jeśli Pan ma jakąś praktykę hotelarską, radziłbym, zanim będzie Pan ubiegał się o posadę, ukończyć kursy hotelarskie, prowadzone w różnych miastach. Abym mógł Panu służyć dalszymi informacjami, proszę podać

mi w jakich okolicach W. Brytanii chciałby Pan się osiedlić. Wg posiadanych informacji, tylko bardzo ograniczona ilość miejsc jest obecnie wolna w branży hotelowej na odpowiedzialnych stanowiskach. Duża ilość b. wojskowych, którzy w czasie wojny pracowali w organizacji kantyn przy demobilizacji ma pierwszeństwo w otrzymaniu posad w hotelarstwie.

St. mar. Tadeusz Mus.

Ponieważ jak Pan twierdzi, w r. 1940 służył Pan w Wojsku Polskim we Francji w 2. Dyw., a następnie po udadku Francji był internowany w

Szwajcarii podlega Pan demobilizacji francuskiej oraz należy się Panu żoład za okres internowania.

Ponadto przysługują Panu następujące odznaczenia: 1) Croix de Combatant — o ile w r. 1939 przed wybuchem wojny nie zamieszkiwał Pan we Francji i nie podlegał poborowi na terenie francuskim, 2) Medaille des Evadés — za ucieczkę z internowania, 3) Insigne des Blessés — o ile był Pan ranny w czasie działań 2 Dyw. i może Pan to udowodnić. W sprawie przeprowadzenia formalności demobilizacyjnych francuskich radzę niezwłocznie zwrócić się do U.K. Nr 1 drogą służbową.

KOMUNIKATY

BIURA INFORMACJI I PORAD SPK 20, Queen's Gate, Terrace, London, S.W.7. Oddział w Edynburgu: 13, Glencairn Crescent, Edinburgh.

PRACA W OGRODNICTWIE

Drogi Kolego, odpowiadamy w tej formie na zapytania w sprawie pracy w ogrodnictwie na terenie W. Brytanii — ponieważ wiadomości te mogą również się przydać innym Kolegom.

Oboz robotnicy zatrudnieni w ogrodnictwie posiadają w tym kraju takie same uposażenie, jak i robotnicy rolni, t.zn. stawka minimalna £4 za 48-godzinny tydzień pracy, plus te same stawki za godziny nadliczbowe. Podobnie jak i w rolnictwie mogą tu być stosowane warunki pracy akordowej (piece work), przy których zarobki mogą być znacznie wyższe.

Jeżeli chodzi o wykwalifikowanych ogrodników, to warunki pracy nie są ustalone. Wyjątek stanowią posady ogrodników miejskich w poszczególnych miastach. Jako typowe stanowiska w ogrodnictwie są „head-gardener” i „under-gardener” — spotykane zarówno w gospodarstwach ogrodniczych, jak też i w dużych prywatnych posiadłościach.

Wynagrodzenie ich jest zależne od posiadanych kwalifikacji (najważniejsze są osobiste referencje dotyczące ich praktyki), przy czym obok tygodniowej stawki mają albo udział w dochodach, albo też jednorazową gratyfikację roczną, jak np. w wypadku zatrudnienia w parkach prywatnych. Ta ostatnia pozycja może wynosić od £50 wznwyż, niżej do £150.

Ponadto „head-gardener” i „under-gardener” otrzymują zwykle mieszkanie — „cottage” i pewne naturalia. W obecnych czasach dobry samodzielny ogrodnik nie przyjmie pracy, o ile nie otrzyma dobrego „cottage” w okolicach 3-5 mil od domu, łaźni, łaźniczki, wody i elektryczności. Dobry mieszkaniec, położenie i bliskość szkoły — są obecnie bardziej decydującymi momentami, niż wysokość wynagrodzenia.

Znaleźć pracę w ogrodnictwie w charakterze ogrodnika jest łatwo. Otrzymać natomiast zatrudnienie w charakterze „head-gardenera” lub „under-gardenera” względnie inną samodzielną pracę, jest, bez wykazania się referencjami — prawie niemożliwe.

Każdy tydzień ogrodnicy lub regionalny przynosi dziesiątki ofertowanych posad, jak również zamieszcza ogłoszenia poszukujących pracy. Brytyjscy pracownicy wyłączeni na tej drodze zaliczają do sprawy.

Ogrodnicy prywatni w majątkach mogą niekiedy być zatrudnieni, jako „szluzba domowa” i w tym charakterze poszukują pracy przy pomocy agencji, jak np. General Bureau for Poles, 15, Cranen Street, London, W.C.2.

Tak w streszczeniu przedstawia się sprawa zatrudnienia w ogrodnictwie. Jeżeli Kolega będzie potrzebował indywidualnej porady, prosimy zawsze pamiętać, że Biuro Informacji i Porad SPK służy jak najchętniej poradą i pomocą.

B.I.P.

WOLNE POSADY

— Potrzebny jest BLACHARZ (panel beater) do prac w dziale samochodowym. Płaca sh. 2/9 za godzinę, 44-godzinny tydzień pracy. Adres pracodawcy: Blanchard Bros. Ltd., 94, Havelock Walk, Forest Hill (Levisham).

— Potrzebni: 6 MALARZY-LAKIERNIKÓW do prac w dziale samochodowym. Płaca £6, 10, tygodniowo. Adres pracodawcy: Express Motor Body Works Ltd., Riverside Road, Tooting, Wimbledon.

— Poszukiwani są SPECJALIŚCI DO MONTOWANIA PROTEZ. Płaca tygodniowa: £5, 10. Adres pracodawcy: Kenny Limb and Surgical Co. Ltd., 75, Radcliff Street, Holborn, London, W.C.1 (King's Cross).

— Potrzebny TAPICER-INSTRUKTOR dla prowadzenia kursu zawodowego w jednym z obozów PKPR. Warunki pracy: do omówienia. Złotowania kierowców: por. Z. Czudec, Adm. HQ Wiltzer Camp, nr Godwinning, Surrey.

— Potrzeba 16 ROBOTNIKÓW BUDO- WLANCYCH do firmy: Messrs. Walks & Son, Besser Lane, Ashford (Ashford). Płaca — 1/11 za godzinę, 44 godz. tyg.

— Potrzebny MONTER SILNIKOWY do naprawiania silników elektrycznych i obsługi silników Diesla. Płaca £6, 10, tygodniowo. Bovril Ltd., 148-166, Old Street, London, E.C.1.

— Poszukuje się 2 PRACOWNIKÓW DO OBSŁUGI MASZYN DO SZYCIA wyrobów skórzanych. Płaca £5 do £6 zależnie od kwalifikacji, 48-godzinny tydzień pracy. Adres: Weiner Diea Ltd., Alporton (Weymouth).

— Potrzeba 3ch wykwalifikowanych BLACHARZY. Płaca 2/6 1/2 na godzinę plus 25% bonus (£10.6.0 tyg.) Starr Engineering Co. 3, St. Peter Street, London, N.1.

OGŁOSZENIA O PRACY W PROGRAMIE B.B.C. (AUDYCEJE POLSKIE)

Jak się dowiadujemy BBC włączyło do ewentualnych audycji w języku polskim o godz. 20.30, fala 456 — komunikat o możliwościach i warunkach zatrudnienia Polaków w przemyśle, rolnictwie i górnictwie i t.p.

POSZUKIWANIA

Kpt. Stanisław JAREMSKI, rzekomo z 2 Korpusu, syn Ludwika, jest poszukiwany przez Aleksandra Jarmarek. Wiadomości prosimy kierować do Redakcji „Naszego Znak”.

SPK W KANADZIE DZIĘKUJE OBROŃCY POLAKÓW

Zarząd Oddziału SPK w Kanadzie wystosował do p. Humphrey Mitchella, kanadyjskiego ministra pracy, depeszę następującej treści:

„Prosimy przyjąć wyrazy wdzięczności za sprostowanie fałszywych, nieuzasadnionych i przynoszących szkodę zarzultów, skierowanych przeciwko polskim kombatanom przyjętym do tego kraju na osiedlenie. Jesteśmy przekonani, że dostatecznie udowodnimy, jaka jest nasza postawa wobec jakiegokolwiek totalitarnego systemu rządzenia, aby zasłużyć na zaufanie do naszej lojalności wobec Kanady”.

Kanadyjski minister pracy stanął bowiem w obronie polskich żołnierzy, którzy stali się przedmiotem niesłychanych ataków na terenie parlamentu ze strony konserwatywnego posła p. T. J. Church.

Miesięcznik-magazyn „CO SLYCHAĆ”

ukazuje się regularnie w pierwszych dniach każdego miesiąca, przynosząc rozmaioci i nowosci interesujące wszystkich

32 strony - 9d.

Przenumerata roczna 9/-, półroczna 4/6

Adres Redakcji i Administracji: 40, Bruntsfield Place, Edinburgh

Redaguje: Wydział Prasowy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7 — tel. WESTERN 0747.

Kiedy wlałeś między wrony . . .

## „Ta“ okręt i „to“ gin

Niech ci się nie zdaje, że mówiąc o płci wyrazów angielskich, zapomniałem o zaimkach, gdyż pogadamy szerzej na ten temat przy jakiejś okoliczności łagodzącej, chwilowo zaś godzi się uporządkować z grubsza sprawę używania odpowiednich zaimków zależnie od rodzaju.

Zatem „on“ i „jego“, czyli „he“, „his“ i „himself“, mówi się o osobach płci męskiej, co należy uznać za regułę trafną. Także „he“ jest nie tylko męczyzna, ale i to stworzenie boże, którego zewnętrzne cechy samce rzucają się w oczy. Więc „he“ jest zarówno „colonel“ (pułkownik) czy „private“ (szeregowiec), jak n.p. „he“ może być „stallion“ (ogier), „bull“ (byk), „cock“ (kogut), „drake“ (kaczor) i t.d. Nie jest to reguła zupełnie stała, gdyż można mówić o tych samcach per „it“, jak można zaimkiem „he“ dyskretnie zataić pewne braki, którymi odznacza się n.p. „gelding“ (wałach) albo nawet „capon“ (kaplon). N.b. podaje te rzeczowniki na goło, czyli bez rodzajnika oznaczonego lub nieoznaczonego, ponieważ o rodzajnikach będzie jeszcze mowa kiedyś, przy najbliższej lekcji karnej.

„She“ (her, herself) jest każda osoba płci żeńskiej i każda samica, zwracająca na się uwagę i wyglądem zewnętrznym i sposobem zachowania się w pewnych okolicznościach. Czyli „she“ jest n.p. „countess“ (hrabina), również jak „lioness“ (lwa), podczas gdy „it“ (it, itself) mówimy w innych wypadkach, gdy n.p. idzie o dziecko, po prostu o bachora, bez wyraźnego określenia jego płci, o zwierzę w ogóle czy też o jakikolwiek przedmiot martwy lub — niekiedy — o przedmiot oderwany, czyli o pojęcie abstrakcyjne. O ile my mamy dotąd pewien kłopot z tytułami czy szarżami wojskowymi przy imionach i nazwiskach kobiecych, nie wiedząc, czy powiedzieć „pani kapitan zębula lipstyk“, „pani podporucznik dostała rozwód“, o tyle w języku angielskim ten kłopot nie istnieje. Temu lat czterdziestu wspomniany wielokrotnie G.B.S. mówi o oficerce Armii Zbawienia w sztuce „Major Barbara“.

Rzecz zastanawiająca, że o każdym, okresie, nawet o największym potworze stalowym, mówi się najczęściej „she“. Tak samo o okręcie podwodnym, bez względu na jego nazwę, jak n.p. w przypadku polskiego „Wilka“ lub „Orla“. W książce A. D. Divine „Navies in Exile“ (Floty na wygnaniu) czytamy wiele pochlebnych słów o polskim „Wilku“, zawsze jako „she“ i o jego żalodze, zawsze jako „her“. N.p. „her crew were on the near of exhaustion“ (jej załoga była bliska

wyczerpania). Albo o naszym „Orle“: „her navigator“ (jej nawigator).

Dziwi nas to odrobine. Kiedyś, gdy będziesz już kapował lepiej po angielsku, może wpadnie ci w ręce słynna, bardzo popularna książeczka dla dzieci p.t. „Alice's Adventures in Wonderland“ (Przygody Alicji w krainie czarów). Bohaterka często dziwi się, więc n.p. gdy myśli nie odpowiada na jej pytania, padają słowa: „Perhaps it doesn't understand English“ (może ona — właściwie „to“ — nie rozumie po angielsku?). Adasiu, znalazłeś się także w krainie czarów, z których dla cudzoziemca przez kilka pierwszych lat najdziwniejszy jest język angielski, którym ty, na razie, władasz mniej więcej, jak myślisz. Ale stary się nigdy nie dziwi ani językowi, ani innym czarom tej krainy!

Podobno rodzaj żeński w zastosowaniu do okrętów, również zresztą jak do samolotów, samochodów, i t.d., jest wyrazem pewnej miłości, jaką

marynarz, lotnik lub kierowca żywią dla swej „maszyny“. Zawodowy pesymista, J. B. Priestley, w książce swej p.t. „English Journey“ („Podróż po Anglii“, dosłownie: „Podróż angielska“) mówi o „a passion — perhaps the purest of their passions — for the machines“ (o namiętności — może najczystszej z ich (t.j. ludzkich) namiętności — do maszyn) oraz o tym, że „ships are creations of power and beauty“ (są tworem siły i piękna).

Możliwie, że w tym rodzaju żeńskim wyładowuje się miłość Anglika do okrętu, nam jednak trudno pogodzić się z tą formą, zwłaszcza że nawet nasz kontrtorpedowiec „Krakowiak“ dla Anglika jest (a raczej był) „she“, czytamy bowiem: „Krakowiak made a fresh name for herself“ („Krakowiak zdobył sobie świeże imię“ — lepiej: „nową sławę“). Jako zaciekle Krakowiak, dumny byłem i będę zawsze z „Krakowiaka“, ale dla mnie jest on i zawsze będzie „tym“, nie „tą“

okrętem. Podobnie i moja maszyna, mój „Underwood“, był, jest i do śmierci będzie samcem. Co innego żytówka lub sliwówka. Chociaż doskonale czujemy ich potęgę, przecież mówimy o nich w rodzaju żeńskim, podkreślając w ten sposób nasz uczuciowy stosunek, podczas gdy wódka, jakakolwiek wódka, wódka, jako taka, po angielsku jest „it“. Nijaka, żadna, słaba, przedmiot martwy, bez ducha.

Baczność! Język angielski zna jeszcze rodzaj czwarty, mianowicie wspólny, więc n.p. słowo „teacher“ oznacza zarówno nauczyciela, jak nauczycielkę. Dodając zaimek „he“ lub „she“ albo rzeczownik „man“ (mężczyzna), „lady“ (pani), „maid“ (dziewczyna) i t.d., określamy wyraźnie, że w grę wchodzi belfer albo nauczycielka, przyjaciółka (lady-friend, girl-friend), służąca (maid-servant) i t.d. Nadto, rodzaj żeński tworzy się z męskiego przez dodanie suffiksu, czyli

po polsku przyrostka -ess: „lion-lioness“ (lew-lwica), „traitor-traitress“ (zdrajca-zdrajczyni), „negro-negress“ (Murzyn-Murzynka). Ale n.p. „thief“ oznacza zarówno złodzieja jak złodziejkę, dziwnie bowiem brzmiaby zwrot: „A lady-thief was taken into custody“ (pani złodziejka została wzięta do więzienia).

O niedźwiedzicy, o kozie, o kotce mówi się „she-bear“ (Wielka Niedźwiedzica inaczej, bo „the Great Bear“), „she-goat“ (kozy), „she-cat“ (kotka). Jeśli, dziwnym zbiegiem losu, zacząłby studiować biblię, spotkał tam zwrot o „he-goats and she-goats“, czyli o kozłach i kozach, ale wątpię, aby ta książka wpadła ci kiedyś do ręki. Suka zwię się po angielsku „bitch“, skąd pochodzi wyrażenie „son of a bitch“. Można także mówić „she-dog“, jednak lepiej będzie, gdy powiesz „lady-dog“, czyli „pani pies“.

Dla ścisłości dodaje, że psy angielskie nie gryzą, a to, dzięki łagodnemu usposobieniu (po angielsku mówi się, że dany pies ma „a good nature“, czyli dobrą naturę), albo w związku z faktem, że podobno spory odsetek psów tubylezych posiada sztuczne szczęki a przynajmniej sztuczne mostki. Psy tutejsze albo nie szczekają wcale albo szczekają cicho, z surdynką. Słyszałem, że niektóre psy łacińcowe w Anglii mają umieszczony nad budą głosić, który zamcznia ich szczekanie. Przypuszczam jednak, że nie gryzą i nie szczekają ponieważ dzieje się im tu bardzo dobrze. Nikt ich nie bije, a każdy je lubi. Oczywiście, najbardziej lubi te psy, na których wygrywa.

Zresztą, Adasiu, nie krępuję cię. Mów o psie, a raczej o succe, jak ci poczucie taktu i własny interes doradzają. Gdy pewnego dnia podczas „Blitzu“ splonęło niemal całe „City“ londyńskie, dzienniki rozpisywały się o jakiejś cudem ocalonej „lady-dog“, tudzież o pewnej kacakadu-papudze.

Na zakończenie rozdziałku niniejszego mała anegdota w formie dialogu między nauczycielem a uczniem.

Teacher: „Johnny, what do you consider the greatest accomplishment of the ancient Romans?“

Johnny: „Speaking Latin.“  
(Nauczyciel: „Jasiu, co uważasz za największe osiągnięcie starożytnych Rzymian?“ Jaś: „Mówienie po łacinie“.)

Wydaje mi się, że Anglicy, choć naprawdę nieźle opanowali swój trudny język, przecież mają na swym koncie także wiele innych, nawet większych osiągnięć.

Dr. S.

ZYG MUNT NOWAKOWSKI

Takie jest prawo angielskie

## Korona i obywatel wobec prawa

Jeżeli szofer „The Fighting Poland Trust“ wskutek własnej nieostrożności przejedzie się przechodzącą w odpowiednim miejscu ulicę, możesz skarżyć nie tylko szofera, lecz przede wszystkim spółkę, której konto bankowe bardziej nadaje się do pokrycia odszkodowania, jakie ci sąd niewątpliwie przyzna. Przypuścimy jednak, że pech cię przesładuje i wpadłeś pod koła wozu poczty królewskiej (Royal Mail). Opowiadaliśmy już tylko tylko ubogi szofer, poczty do sądu pozwać byś nie mógł.

Dlaczego? Bo Anglia jest krajem tradycji. Dawni, średniowieczni prawnicy utrzymywali, że król nie może zrobić nic złego. Jest on źródłem sprawiedliwości. Nie może być pozwany do sądu, albowiem sądy są Jego Królewskiej Mości. Nie można mu doręczyć pozwu, gdyż wystawiane są one w jego imieniu, więc sam nie może nakazać sobie, by się stawił przed własnym sądem.

Ta średniowieczna teoria utrzymała się w sędownictwie angielskim do dnia dzisiejszego. W każdej prawnej dyskusji pomiędzy Koroną a obywatelem — Korona jest w daleko korzystniejszej sytuacji, a często sprawa zostaje rostrzygnięta na korzyść Korony, zanim w ogóle przystąpiono do jej rozważania. Tak więc, doskonałość jaką w teorii prawo przypisuje Koronie — w praktyce znaczy, że nie można

dochodzić sądowo naprawy krzywdy przeciw Koronie za szkody wynikłe n.p. z niedbalstwa, naruszenia cudzych praw, bezprawnego pozbawienia wolności, obelgi lub paszkwilu i t.p., a które, w stosunkach między zwykłymi obywatelami, krzywdziciel musi naprawić.

Korona jest prawnie niezłodna popełnić żadnego z tych czynów. A gdyby faktycznie popełniła, nie znalazłby się sędzia w Anglii, który by w ogóle przyjął skargę pokrzywdzonego. Jeżeli więc w chwili gdy przechodziłeś pod oknami któregoś z ministerstw, maszynista zrzuciła na ciebie wieko od maszyny, rozbijając ci łeb, nie mógłbyś skarżyć o odszkodowanie Korony jako jej służbowy. Nie w lepszej sytuacji znalazłbyś się, gdybyś chciał pozwać któregoś z jej przelożonych aż do ministra włącznie, albowiem według prawa żaden z nich nie jest jej pracodawcą, gdyż wszyscy, na równi z nią, są sługami Korony (Servants of the Crown).

W wypadku, gdyby Korona zerwała kontrakt zawarty ze swym poddanym — pozycja jego byłaby nieco lepsza, lecz nadal znacznie trudniejsza, niż w sprawie pomiędzy dwoma obywatelami. Nie ma bowiem skargi przeciw Koronie o złamanie kontraktu. Sprawa może przyjść do sądu tylko na skutek t.z. „Petition of Right“ (prośba o sprawiedliwość).

Jest to bardzo skomplikowana i kosztowna forma procesowa, dostępna jedynie, gdy Korona, przez ministra spraw wewnętrznych (Home Secretary), według własnej oceny uzna, że próbie należy skierować do sądu, zamieszczając na niej swoje zezwolenie „fiat“ — „niech sprawiedliwość zostanie wymierzona“. Wówczas rozprawa odbywa się jak między stronami prywatnymi, a kosztą przynajmniej poddanemu egzekwowane są w zwykły sposób.

Tak więc udało ci się wrzescie postawić Koronę przed kratkami sądowymi. Nie sądz, że masz równe szanse w tym boju. W procesie między dwoma prywatnymi stronami, każda z nich, poza niektórymi dokładnymi sprzecywanymi wyjątkami, może zażądać od drugiej wyjawienia wszystkich dokumentów, odnoszących się do sprawy. Od łaski Korony zależy wyłącznie, czy przestawi się swych archiwów dokumenty, które mogą być decydujące na twoją korzyść. Gdyby zaś Korona zaskarżyła cię o zwrot należności, nie możesz w sądzie zasłaniać się wierzytelnością wzajemną, jaką masz do Korony.

Ostatnio jednak nastąpiło pewne unowocześnienie prawa w tej dziedzinie i przywilej Korony w sprawach spornych zostały do pewnego stopnia ograniczone. Napiszemy o tym w przyszłym tygodniu.

Dr. S.

ZYG MUNT NOWAKOWSKI

## Sercą w szkole

Zanim zjawily się te dziewczęta w swojej ukochanej szkole, zanim weszły do jednej z jej gimnazjalnych czy licealnych klas, trzeba było przejść wiele dni ciężkich, twardej i jak ostry kamień kostropaty. Trzeba było najpierw przechodzić przez rozliczne a przykre niedole, przez chłód i niedopanie, przez krew i najgorszą poniewierkę.

Przed wszystkim jednak było trzeba czekać. Cześć długo, uporczywie i cierpliwie. Cześć nad wszelkie wyrozumienie długo, bo przez cały sześć lat, z których każdy wydłużał się w bezkres nieskończoności. Trzeba było czekać przez całą wojnę, czyli przez cały tamten krwawy i upiorny czas płynącej krwi, zadawanych katuszy i bezmiernego cierpienia. Przez cały tamten ponury czas wojenny, skroś wszystkie jego pożary i poprzez wszystkie jego skrzwawiona grzeź.

Przez to wszystko zatem było trzeba przeżyć, aby nareszcie, po sześciolatniej przerwie w nauce, móc na nowo dostać się przed bramy polskiej a nade wszystko umiłowanej szkoły.

Droga więc do tej szkoły, do tego jedynego w byłym II Korpusie gimnazjum i liceum dla ochotniczek PSK, była uciążliwa i daleka. Wiodła zaś ta droga rozlicznymi a zawsze utrudnieniami pełnymi szlakami. Zaczem podążały jedne z uczennic do tej swojej szkoły zaśnięzonymi bezdrożami sybirskich tajg, dokąd zesłane zostały wrychle jakoś po tamtych nieszczęsnym Wrześniu; więc potem pielgrzymowały dalej w stronę swojego gimnazjum i liceum poprzez skaliste urwiska irackich gór i przez spiekotę egipskich pustyń, a jeszcze później, na italskiej już ziemi, wędrowały ku swojej szkole ukochanej wśród huk armat, wśród ognia pejąjących bomb i gorejącej bitewnej pożogi, biorąc same w niej chętną a żarliwą współdzielca jako kantyniarki, jako kierowczynie samochodów, jako łączniczki, jako siostry szpitalne i jeszcze nie wiedzieć co.

Zaczem były inne z uczennic tej szkoły, które pielgrzymowały w jej stronę poprzez głód, poprzez wzy i poprzez straszną poniewierkę we wszystkich niemieckich obozach koncentracyjnych, pełnych ohyd i lejącej się z rozbitych czaszek krwi. Zaczem były trzecie, co w stronę swej umiłowanej szkoły podążały mozolnie poprzez twarzą i sękatą robotę w niemieckich fabrykach i poprzez zabijającą znużę w pracy na gliniastym polu germańskiego bauera.

Zaczem zjawily się w tej szkole takie, co szły do niej z płomieni gorejącej w powstańczych dniach Warszawy. Szły wszystkie, których surowy rozkaz wroga wypędził z przytulności ciepłego domowego ogniska, które wrog podał był na głód i na poniewierkę, które rozkurzył po świecie, odłączając je od matek i ojców, od sióstr i braci, od tego w czym żyły, od tego co ukochały i co w młodych ich żywotach największym było ukochaniem.

Wybiezione były, wymierzowane, blade od niedospania, slaniające się na nogach po katogach niemieckich kacetów, wrychcie często nie tylko z sil, ale i z wiary w człowieka, wiary w siebie i w świat, oniesmielone zjawiskami tego świata, jaki z nagła wielkim do nich zawałał krzykiem, pobite pulsującym życiem gwarnych italskich miast i dróg, oszolomione słońcem, morzem i kwiatami, skurzone w sobie i w swojej nieśmiałości sięgnięcia kregu jakichś tam cudacznych a śmiesznych swoich przywidzeń, sądów i cichych, a przyduszonym głosem wypowiedzianych szeptów.

Takie były, gdy po zakończeniu działań wojennych na italskim froncie zapukały do bramy, za którą stała w powodzi słońca szkoła — w Porto San Gorgio nad modrym włoskim morzem. Takie były: oniesmielone nowym życiem, które w nie uderzyło, zmierzowane tulałkami i poniewierką i do szczętu skurzone w swej bojaźni przed radosną gonitwą przyszłych dni.

A gdy już raz weszły do swojej szkoły, której szukały tak uporczywie i tak długo, oddały jej od razu i na wstępie całe swoje serce. I stała się ta szkoła dla tych zgonionych polskich dziewcząt od samego początku najserdeczniejszym ich umiłowaniem. Zamieszkało w szkole dobre, szczeropolskie i ofiarne serce tych dziewcząt-uczennic. One zaś same żyły ta szkoła, wszechpialy się w nią całą swoją duszą, wryzały się w jej istotę jak w słodki, owocowy miąższ całej swojej myśli i wszystkim swoim młodym czuciem, skorym do największych zapalów, trudów i poświęceń.

Istniała więc ta szkoła owych dziewcząt wszędzie, gdziekolwiek by się one znajdowały, a więc: w poczekalni

dentysty, na poczcie, w autostopie, w czasie posiłku; nie schodziła z pamięci i z serca i stale, bez przerwy trzeba było o niej mówić i opowiadać każdemu, kto chciał czy nie chciał słuchać, najwięcej jednak należało o szkole opowiadać i gwarzyć na jej temat pomiędzy sobą, wszędzie, na każdym miejscu i o każdej porze dnia a nawet nocy. Szkoła stała się treścią ich życia, które wypełnione zostało nią bez reszty i do szczętu. Stała się sensem życia najistotniejszym i najbardziej wartościowym, toteż trzeba opowiadać tylko o tej kochanej szkole.

Przed wszystkim trzeba jednak (powiadały owe dziewczyny polskie) przede wszystkim jednak trzeba się uczyć. Gwałtownie, obojętnie i z zapalem uczyć.

Trzeba się uczyć, aby nadrobić braki straconych w obozach i na poniewierce lat; aby nadrobić to, z czego zostały okradzione przez twarde los i aby nadgonić to, w czym wyprzedziły je i ubiegły szczęśliwe ich rówieśnice na całym świecie, które nie były zmuszone trwonić i marnować swej jarej młodości w zawieszonych niemieckich obozach koncentracyjnych: w najdrożej szerszej z wszystkich prac, to znaczy w radości pracy nad sobą.

Trzeba się kształcić — rozumiały to i pojęły w lot. A zrozumiały, rzuciły się do tej nauki całą potęgą swego młodzieńczego, osiemnastoletniego entuzjazmu. Zawrzała w szkole praca serdeczna. Furia pracy, szal pracy i jej radosna, rozpiewana zawierucha. A wszystko to po to, aby znaleźć, odszukać, co były potrąciły na długiej i mozolnej drodze swej tułaczki; po to, aby odnaleźć wiarę w siebie, w swoje własne siły, w dobroć człowieka i wiarę w sens życia, który tam, za kolezastymi drutami obozów, rozpywał się i wsiąkał w ziemię, jak owa krew, co bluzgała z czerwonych ran.

Potem, gdy znowu twarde los tak napoczęł, przyjechały te dziewczęta wraz ze swoją szkołą do Anglii. Wymieczona z tamtego białego domu nad niebieskim włoskim morzem, zamieszkała ta uczelnia w jednym z obozów. Było teraz gorzej, o wiele gorzej. Było chłodno i zimno, tak że aby opalić salę baraku lub izbę szkolną, należało wędrować do dalekiego lasu, aby

uzbierać tam kilka naręczy opalowego drzewa; w baraku samym zaś, gdzie stłoczono je po 30 a nawet po 40 na przestroni parudziesięciu metrów kwadratowych, nie mogła się, siłą rzeczy, przy indywidualnym sposobie odrabiania lekcji szkolnych, wytworzyć atmosfera sprzyjająca takiemu wielkiemu wysiłkowi, jakim jest nauka; że zaś tamte naręczy drzewa z lasu niewiele pomagały, przeto stało się zimno i chłodno; należało więc wypracowanie domowe pisać z nacągionymi na skostniałe dłonie rękawiczkami, a z książką, z której trzeba się było uczyć, należało uciekać pod koc, który dawał jaką taką ochronę przed dokuczliwym ziąbem.

Ale to nie byłoby najgorsze; w ciągu owych sześciu lat swej poniewierki nauczyły się znosić i chłód i głód i wszelką inną niewygodę. Gorsze od mrozu i nawalu codziennej pracy szkolnej i pozaszkolnej (sprzątanie klas i swoich mieszkań, pomoc w kuchni, służba obozowa etc., etc.) były tamte wszystkie ich własne, wewnętrzne tragedie, uzbierane na dalekiej pielgrzymkowej ich szlaku; a więc nagłe przypomnienia sobie o męczerskich skonach matek czy ojców; z naglą otrzymywane wiadomości z kraju o śmierci kogoś z najbliższych; niepewność swojego własnego losu tu, na tej angielskiej ziemi; rozlamywanie się wewnętrznie na dwoje, gdy matka lub ojciec z kraju pisali, by wracać; brak wiadomości o kimkolwiek ze swoich. Setne i tysiączne sprawy, z których każda wierała się w duszę i w mózg, świadowała tam i wierała, nie dawała spokoju i sprawiała rozterkę duchową, wysysała siły i nakazywała odrywać się od umiłowanej książki szkolnej.

Ale to wszystko zle w niczym nie zdolało wpłynąć na szeroki, bujny i radosny tok ich pracy. Jako tam ongiś, lońskiego roku na italskiej ziemi, tak i teraz tu, w tym angielskim obozie szły i umiały te dzielne polskie dziewczyny iść twardo, nieustępliwie a ciągle różnym krokiem do przodu, przed siebie. Po staremu, choć ciężko było, wrzała w tej dziwniej szkole praca radosna, szczera a obojętna. Potrafiła każda z tych niezłomnych dziewcząt polskich schować swoje własne, prywatne cierpienie gdzieś

głęboko w sercu, ukryć je na samym jego dnie, a wy dobyć z tego serca wszystką mieszczącą się tam radosną ochotę, wszystek istniejący tam zapal i wszystką buzującą tam chęć dalszego kształcenia się i dalszej pracy nad sobą.

W chwilach najbardziej dla nich ciężkich i tragicznych potrafiły zacisnąć zęby, potrafiły i umiały zdusić cisnące się do oczu łzy i powiedzieć sobie: nie dam się! Będę trwała do końca!

Z tymi zacisniętymi zębami, i z tym krzykiem „nie dam się“, trwały rzeczywistości do końca roku szkolnego.

Przyszedł ten koniec roku szkolnego przed niedawnym i przyniósł tym dziewczętom radość zwycięstwa. Dwa-dziesięć sześć spośród nich, a więc wszystkie te, które uczęszczały do drugiej klasy licealnej i złożyły podania o składanie matur, uzyskało w tych dniach w pełni zasłużone (a jakżeż dla nich drogocenne!) świadectwa dojrzałości. Inne, w ilości ponad sześćdziesięciu, uzyskały również zasłużone promocje do klas następnego gimnazjum czy liceum.

Trud opłacił się rzeczywistości. Zwłaszcza zaś opłacił się tym, co składały końcowy już w tej szkole egzamin i stawały do matur. Pójdą one teraz w świat z głębokim w sobie i grzejącym serce przekonaniem, że spełniły swój obowiązek do ostatka i rzetelnie i sumiennie. Pójdą w życie bogatsze w zasoby wiedzy nabytej w ich szkole, którą tak pokochały, jak również bogatsze o jedno wielkie przeżycie, w tej szkole zrodzone i poznane. Pójdą zaś z tym radosnym w sobie doznaniem, iż wszelki ucziwy trud zostanie ukoronowany palmą zwycięstwa, jeśli spełnia go się tak, jak one spełniały go w czasie pobytu w swej szkole, to znaczy: z zaparciem się, z wiarą we własne siły i w przekonaniu, że ideał dobra skazany jest na wielkość i chwałę radosnego powodzenia.

Odeszły te uczennice ze swojej szkoły. Wiemy jednak, że będą do niej powracały w swoich myślach zawsze; była to bowiem ta szkoła, która zawsze im o wywyższeniu ideału dobra nad złem opowiadała i która uczyła te polskie dziewczęta wiary w ostateczne zwycięstwo wszelkiej na świecie sprawiedliwości.

Powrócą te dziewczęta do swej szkoły, muszą powrócić. Przecie pokochały ją bez granic, bez granic. Przecie, jakkolwiek odeszły, zostawiły w tej szkole swoje młode, zapalem i pracą rozspiewane serca!

ADOLF FIERLA

### SZCZYPTA HYPTA

PANOWIE A, B i C

PAN B.

Ach czemuż, czemuż, mój Klemensie luby, tę tekę mi powierzyłeś?

Ach czemuż, drogi, na tak ciężkie próby osobę mą wystawiałeś?

Ja przecież chciałem posadę Daltona, Tyś mi ją nawet obiecał...

Zmieniałeś zdanie: praca mi powierzona tylko niepokój mój wznieca.

Persja i Grecja, cenne Dardanele, nie mówiąc o Palestynie...

Nie, mój Klemensie, Ty naraz to wiele spodziewasz się po Bevinie.

Traktat z Niemcami i Dunaju fale spać mi nie dają po nocy,

W partnerze „Czwórki” ja nieistety wcale, nie mam ni za grosz pomocy!

Ach czemuż, czemuż mój Klemensie luby tę tekę mi powierzyłeś?

Ach czemuż, za co, na tak ciężkie próby osobę mą naraziłeś?

PAN A.

Cierpliwości, Drogi Ernście, im to też się znudzi pewnie. Gdy nam grożą, oskarżają, imperializm zarzucają — nie daj im się wywieść w pole, choć cię prawda w oczy kole!

Bądź cierpliwy i spokojny: oni także nie chcą wojny!

Cierpliwości, mój Bevinie, — choć cię za jej brak — nie winię!

PAN C.

Coś obiecać, ale nie dać, jednych kupić — drugich sprzedać!

Wejść w sojusz, jeśli warto; mamie — Atlantycką Kartą.

Tu coś zdobyć, tam się wyrzec, gdy już trzeba — to i przyrzec.

Przyrzekając, dobrze baczycy, by choć sens mój przeinaczycy...

Znosić trudy, nie narzekać. Bronić wolnych praw człowieka.

Dbać, by jego interesy — nam przyniosły coś do kiesy...

J. HYPT

Płóca wieczne i naprawa zegarków z gwarancją.

ASTE LTD. 62, Oxford Street, London, W.1. I-sze piętro, drzwi nr. 9.

„ORBIS” KSIĘGARNIE POLSKIE

London: 38, KNIGHTSBRIDGE, S.W.1. Tel.: SLO 2701

Edynburg: 31A, CASTLE ST. Tel. 24705

WIELKI WYBÓR KSIĄŻEK I CZASOPISM W SZCZEGÓLNOŚCI

PODRĘCZNIKI DO NAUKI ANGIELSKIEGO, SŁOWNIKI I PODRĘCZNIKI TECHNICZNE

EDYNBURG KSIĘGARNIA POLSKA „CO SŁYCHAĆ”

2, DRUMSHEUGH PLACE, EDINBURGH. Tel. 21712 (obok kościoła polskiego)

Poleca wielki wybór książek polskich i angielskich podręczniki szkolne i techniczne, słowniki i nauka języków.

Baranki, oznaki i dystynkcje wojskowe. Materiały piśmienne i rysunkowe. Podarki i pamiątki.

Wykonujemy wszelkie roboty drukarskie, przepisywanie na maszynie i powielanie oraz tłumaczenia w różnych językach.

Na żądanie wysyłamy katalogi i cenniki.

SPIS RZECZY

Gustav Sulima: Czy wynarodowienie? — Helena Orchoń-Zelwerowicz: Warszawa. — St. Genat: O emigrację planową. — Aleksander Boray: Przegląd tygodniowy. — Lector: W oczach obcych. — Tadeusz Naler: Polska pod okupacją. — Zrzeczenie Przyjaciół Polskiego Żołnierza. — „Nasz Znak” (Dodatek S.P.K.). — Zygmunt Nowakowski: Kiedy władzę między wrony... — Dr. S.: Takie jest prawo angielskie. — Adolf Fierla: Serca w szkole. — Szczypta Hypta. — Obywatel Żądło: Na paczce od mydła. — Rad: Anglia na codzien.

# NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i obywatele! Zgnita emigracja i szczerą demokracją! Przyjacieli i wrogowie ludu! Paszyci i czerwono-skórcy!

Różne u nas przed wojną w Polsce „faszystowskiej” bywały zbiórki. Mieliśmy kiedyś tego po same uszy: FON, LOP, COP i tp. Dziś — mili demokraci — wspominaliśmy czasem te nasze narzekania z sentymentem.

Ale... uderzmy się w piersi. Lipa to były, proszę demokratów, owe wysiłki społeczeństwa w okresie sanacji wobec niesamowitych pomysłów zbiorczych w przeżywaną przez nasz kraj „PP-erze” — socjeto-demokracji.

Zbiórki sypią się tam teraz jedna za drugą. Ostatnia jednak pobiła wszelkie rekordy pomysłowości: od wszystkich obywateli miasta stołecznego Warszawy żądano dobrowolnych datków na rzecz Zarządu Miejskiego w postaci... truciżny.

Tak jest, obywatele — truciżny. Bo owóz wobec braku kredytów miejskich i funduszy „państwowych”, które pozwalają sobie na różne inne akcje truciżnicie — każdy jeden obywatel Warszawy musi zakupić i osobiście ureczyć Zarządowi dawkę truciżny, która zdolna jest zabić... 3 szczury. Słownie: trzy.

Zaszczurzenie stolicy — jak pisze jedna z tamtejszych komunistycznych płacht — przybrało zastraszające rozmiary. Szczury legną się wszędzie, niszcząc miasto.

My dodajemy: nie tylko miasto; cały kraj. Szczury zjadają wszystko od dołu do góry. Szczury wywołują z Polski wszystko, co wpadnie pod łapy. Szczury przegrzyły budowę państwa i wgrzyzają się w duszę narodu.

Nie łatwo nam śmiać się z tych rzeczy,

ale możemy sobie wyobrazić taki ogonek obywatelski pod Zarząd Miejskim w Warszawie. Każdy dobry Polak stoi tam z bijącym sercem, trzymając kurczowo dawkę truciżny w ręku, przeznaczoną dla trzech... szczurów.

My stajemy razem z nimi w tej kolejce wotując: „Truciżna na truciżnę”. Już dość bowiem wszczono jadu w polskie szeregi, a ostatnio pomiędzy Kraj a emigrację.

Akcja Zarządu Miasta Warszawy pomyślana jest dość skromnie. Czekamy na dalsze pozytywne inicjatywy w tej sprawie.

Ach, gdyby takich „świadczących w naturze” zażądał Urząd Bezpieczeństwa, ogonki ciągnęłyby się przez całą Polskę. A może by tak pozwolono na indywidualne „dary” dla Bieruta, Gomółki, Bernana lub Radkiewicza. W społeczeństwie apel o składanie truciżny znalazłby „szczery odzew”.

Mamy już nawet gotowe zawołania propagandowe dla akcji: „Trutki na Bierutki”, „Ampułki dla Gomółki!”, „Arszeniki na bolszewiki!” albo „Cjankali dla Moskali!”.

Toż by ludziska znosiła! Nie na 3 szczury, ale na dziesięć by starczyło z datku pojedynczego obywatela! Można powiedzieć, że od ust by sobie ludziska odjęła, a przyniesłoby truciżny, proszę miłych demokratów. Bo już naród taki jest: hojny i czuły w takich okazjach.

W związku z istną manią zbierania trutek, którą na terenie stolicy upowszechnili działacze P.P.R. ma podobno nastąpić zmiana nazwiska Cyrankiewicza na Cjankalewicz, żeby bardziej spopularyzować nienawiść do szczurów kanalowych, a równocześnie wzbudzić większą

miłość do premiera. W planach akcji odszczurzenia stolicy bierze się również pod uwagę pomysł sprowadzenia z Rzymu... Kota, żeby wyplaszyl szczury.

Chciałbym i do was zwrócić się z apelem, obywatelki i obywatele, o wzięcie udziału w tej wielkiej manifestacji trutkiwej i poparcie akcji na terenie Londynu. Kto może, niech znosi do Hyde Parku i składa na mojej paczce od mydła wszelkie rzeczy trujące, gdyż nie wiadomo, kiedy nam się do przyda.

Zaznaczam, że jako dary trujące nie będą przyjmowane ofiary tego typu jak: trująca atmosfera niektórych kół emigracyjnych, społecznych, drobiazgi zatrudniające życie i pracę, oraz zatrute jabłko niezgody rzucone pomiędzy grupy, grupki, podgrupy, podgrupki, przedgrupki i zagrupki londyńskie.

Znoście obywatele cierpliwie każdą szczyptę materii, działającej radykalnie na odszczurzenie całej Polski, w której legną się, gryzą i do dusz się zakradają czerwone szczury z kanałów sowieckich.

Na zakończenie, wnieście razem ze mną potrójny tradycyjny okrzyk: „Śmierć czerwonym szczurom!” „Cjankali do cjanekali, a jakoś się ich rozwalą!”

„Niech żyje twórcza inicjatywa truciżnicza Zarządu stołecznego Miasta Warszawy!”

Do usłyszenia za tydzień, w tym samym miejscu, na tej samej paczce, o tej samej porze.

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

**SKRZYŃKA POCZTOWA LIST Z U.S.A.**

Szanowna Redakcja „Polski Walczącej”, przesyłam prenumeratę za rok 47, przepraszam najmocniej za opóźnienie. Małe piśmisko panowie wydajecie, ale ono w sobie mieści więcej, niż te pisma o największych rozmiarach.

Pozostaje z najgłębszym szacunkiem i poważaniem

**FRANCISZEK WIŚNIEWSKI**  
13408 Bloom Street, Detroit 12, Mich., U.S.A.

**! DRUGIEJ WYDANIE !**

**TYMON TERLECKI**

**POLSKA A ZACHÓD**

**PRÓBA SYNTEZY**

Cena 3 szylingi

Skład główny: „ORBIS”, 38, Knightsbridge, London, S.W.1

**WYSTAWA PRAC MALARSKICH**

Od dn. 2 do 28 czerwca b.r. otwarta będzie w galerii Jabe (Jasons Court, 76, Wigmore Street, W.1) wystawa prac malarskich i rysunków F/Lt. STEFANA KNAPPA. Tematem wystawy są przeżycia F/Lt. Knappa w obozach koncentracyjnych Rosji. Wystawa otwarta w dni powszednie w godz. 11-6, w soboty w godz. 11-1.

Ktokolwiek z zainteresowanych Polaków życzyliby sobie

**NOWY TESTAMENT** lub EWANGELIĘ św. JANA (z. kat. w młarę zapasów) w języku polskim

proszę zwrócić się do pana S. K. HINE, 110, Christchurch Road, London, S.W.2.

**BIAŁE SPADOCHRONY**

jedwab „Nylon” na damską bieliznę i bluzki. 1 szt. materiału (2 kliny) długi 3 1/2 metra szer. góra: 12 cm. dół: 180 cm. Cena z przesyłką poleconą w Wielkiej Brytanii: 23 szyl. Cena z przesyłką poleconą do Polski: 24 szyl. 3 pensy.

Nowy, podwójny, biały koc — czysta wełna. Cena z przesyłką w Wielkiej Brytanii: 35 szyl. Mało używany, jak wyżej, 30 szyl.

Nowy, pojedynczy, biały koc — czysta wełna. Cena z przesyłką w Wielkiej Brytanii: 30 szyl. Mało używany, jak wyżej, 25 szyl.

Zamówienia z należnościami tylko listowne przyjmuje: ANGLIO-CONTINENTAL AGENCY, 51, Barkston Gardens, S.W.5

Wysyłka natychmiastowa

**ANGIELSKI dla WSZYSTKICH**

Celem umożliwienia nauki języka angielskiego WSZYSTKIM Polakom w W. Brytanii, bez względu na wykształcenie i przygotowanie, Towarzystwo nasze opracowało najnowszą, praktyczną metodę nauki języka angielskiego.

Wysyłamy periodycznie (częściami) samouczek oraz kompletny słownik polsko-angielski i angielsko-polski, duży format, oraz słownik wyrazów technicznych.

Okres nauki trwać będzie około 3-ch miesięcy. Po ukończeniu kursu zainteresowany będzie posiadał:

- 1) Kompletny słownik polsko-angielski i angielsko-polski.
- 2) Słownik najpotrzebniejszych słów i terminów technicznych.
- 3) Samouczek języka angielskiego.

Licząc się ze skromnymi możliwościami szerokiego mas Polaków na obczyźnie, obciążone zostały tak, aby pokryły wydatki biura i papier, to jest 13sh. 6d. Kwota powyższa może być wpłacana ratami, stosownie do możliwości.

Informacji udzielamy odwrotnie, po otrzymaniu zaadresowanej koperty z naklejonym znacznikiem pocztowym.

P.T.: Oficerów Oświatowych, Kierowników Opieki nad Żołnierzem i Rodzinami Wojskowymi, Kierowników i ich Zastępców w Hostelach — prosimy o skomunikowanie się z nami celem jak najszerszej współpracy.

**NEWTON PRINTING & PUBLISHING CO., LTD.**  
14, HOLLAND PARK AVENUE, LONDON, W.11

Wyjeżdżając do Kraju, emigrując do Dominów lub do Kolonii, zostając w W. Brytanii — ucz się angielskiego naszą łatwą metodą.

**WYDAJE „FIGHTING POLAND” TRUST**

Adres Redakcji (Editorial Offices): 52, Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii kwartalnie 8 sh., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie \$1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST” pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 10s., (\$5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 9d. za słowo, dwukrotne 1 sh. za słowo, trzykrotne 1 sh. 6d. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy: jednokrotne 6d., dwukrotne 9d., trzykrotne 1 sh. za słowo.

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji (Business Offices): 69, Earls Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAman 8600

### ANGLIA NA CODZIEN

DOŃCIU SIĘ PRZEDSTAWIA

Trudno się dziwić, że w tydzień po swej wycieczce do Londynu i wizycie w nocnym klubie Doñciu otrzymał list z banku, w którym miał swe konto, a w liście uprzejme zawiadomienie o deficycie powstałym wskutek nieopatrznego wystawienia ostatniego czeku.

List zaczynał się od „We beg to inform you”, co Doñciu zrozumiał jako: „Błagam cię o informację”, a po stwierdzeniu deficytu w sumie pięciu funtów kończył się uprzejmym „Your obedient servant”.

Doñciu niezwłocznie wypisał czek na pięć funtów i przesłał go do banku, aby w ten sposób pokrył niedobór. Do czeku dołączył list, rozpoczynający się od słów „My dear obedient servant”, z zapewnieniem, iż gdyby w przyszłości powstał jeszcze kiedykolwiek na jego koncie deficyt — on gotów jest natychmiast przysłać czek nawet na większą sumę niż niedobór, byleby tylko oszczędzić kłopotów urzędnikom banku.

Łatwo się domyśleć, że dopiero po tym liście urzędnicy banku byli ogromnie zadowoleni.

Bank miał kłopoty z Doñciem od samego początku. Zaraz po otwarciu konta Doñciu musiał postać wzrós swego podpisu, w którym zwyczajem wojskowym — imię następowo po nazwisku: Trzeszczybrzecki Apolinary. Rezultat był taki, że dalsza korespondencja z banku była adresowana: Mr. T. Apolinary, co zresztą Doñciu łatwo sobie wytłumaczył:

— „Szelma dziewczucha — wyobrażał sobie młodą i ładną urzędniczkę banku — ma przecudnie, zem przystojniaki i od razu do mnie po imieniu — najwyraźniej chce mnie namotać. A mówili, że Anglicy tacy zimnokrwistoi! — Anglicy może, ale nie Angielki, o nie! baby wszędzie takie same. Muszę do niej pojechać”.

— „Ale przy pierwszej wizycie w banku — korespondentem Doñcia okazał się stary, zgarbiony staruszek w okularach, który pouczył Doñcia, że w tym kraju imię zawsze stawia się przed nazwiskiem.

Z nazwiskiem Doñciu też miał kłopoty. Ilekroć przedstawiał się: Trzeszczybrzecki, tylekroć następowało brzemienne ciekawością pytanie: — „And how do you spell your name, Mr. Sh-sh-ch-ki?”

— „Easy” — odpowiadał Doñciu — „ti-ar-zed-i-es-zed-si-zed-taj-bi-ar-zed-i-si-kej-cij”

— „O, I see — mówiła z ulgą nowopoznana osoba — Z-z-breski...”

Kiedys jednak to niestrawne dla Anglików nazwisko wybawiło Doñcia z opresji.

Jechał swym samochodem do przyjaciół, których dom stał zaraz za skrzyżowaniem ulic. Na skrzyżowaniu były regulujące ruch światła, które — jak twierdził Doñciu — wynaleziono, aby utrudnić życie kierowcom. I tym razem witało Doñcia od strony, którą nadjeżdżał, światło czerwone. Widząc jednak puste ulice, a nie widząc policjanta, który stał dyskretnie za rogiem, nie czekał Doñciu na formalność zapalenia się zielonego światła, lecz z dużą szybkością przejechał skrzyżowanie, zatrzymując się z fasonem t.zn. pisząc gwałtownie hamowanymi kołami przed domem przyjaciół.

Tymczasem policjant powoli podszedł do samochodu, wyjął z kieszeni duży notes i ołówkę i wysiadającego właśnie z samochodu Doñcia łagodnie zapisał:

— „What is your name, sir?”  
— „Apolinary Szczepan Trzeszczybrzecki” — przedstawił się dumnie Doñciu.

Policjant stał przez chwilę nieruchomo, po czym zamknął notes i schował go do kieszeni równie systematycznie, jak go przedtem wyjmował, i powiedział:

— „All right, don't do it again!”  
I wolnym krokiem powrócił na swoje stanowisko.

RAD

### KSIĄŻKI NADESŁANE

Wojciech Wasutynski: Ruiny i fundamenty. Biblioteka Książki Polskiej. Str. 141.  
J. A. Teslar: A New Polish Grammar. Oliver & Boyd. Str. 469, cena 15s.  
Lieut. Gen. M. Kukiel: Six Years of Struggle for Independence. Montygomeryshire Printing Company. Str. 41, cena 2s.  
Faked Elections in Poland — as reported by foreign observers. The Polish Freedom Movement „Independence and Democracy”. Str. 61, cena 2/6.  
Za Wolność i Niepodległość — czasopismo poświęcone sprawie polskiej, Rok I, Nr. 1. Str. 24, cena 1/6.  
Sprawy Międzynarodowe — kwartalnik. Rok I, nr. 1. Polski Inst. Badań i Spraw Międzynarodowych w Londynie. Str. 56, cena 3/6.  
Przegląd Polski — miesięcznik. Rok 2, nr. 5. Contemporary Life and Culture Ltd. Str. 80, cena 4s.

Wydawnictwa „Światopól” 28, Beaufort Gardens, London, S.W.3.  
Józef Łobodowski: „Modlitwa na wojnę I”. Londyn, 1947. Str. 107.  
S. Z. Tomczak: „Sowieckie eksperymenty gospodarcze na ziemiach polskich”. Londyn, 1946. Str. 97.  
George Orwell: „Folwark zwierzęcy” z angielskiego tłumaczyła Teresa Jeleńska, ilustracje Wojciecha Jastrzębowski. Londyn, 1947. Str. 95.  
Maria Konopnicka: „Wybór nowel”. Opracowała Maria Danilewiczowa. Londyn, 1947. Str. 144.  
Teofil Lenartowicz: „Wiersze wybrane”. Londyn, 1947. Str. 101.  
Juliusz Stowicki: „Wybór pism — wiersze różne”. Opracował Mieczysław Giergielewicz. Londyn, 1947. Str. 144.